ŚWIAT

REDAKCJA I ADMINISTRACJA • WARSZAWA, SZPITALNA 12

Nr. 38 22 września 1934 r.

„Czwórka z przed kryzysu"

CENA 1 ZŁ.





RĘKAWICZKI



Znana w stolicy wytwórnia rękawiczek skórkowych E. KARŁOWICZ przeniosła się do nowego obszernego lokalu przy ul. Marszałkowskiej Nr. 85. Zdjęcie przedstawia front tego nowocześnie i wybitnie gustownie urządzonego magazynu, który firma E. KARŁOWICZ zaopatrzyła na sezon jesienny w bogatą kolekcję najnowszych modeli rękawiczek.



SAMOLOT

WIELOKROTNIE SKRACA DROGĘ!!!

PASAŻEROWIE—POCZTA—TOWARY

Bawełna do cerowania i nici „TRZYLILJE"

KRAJOWY PRZEMYSŁ NICIANY. WARSZAWA.

PRZY ZABURZENIACH W TRAWIENIU, PRZEWLEKŁYCH, UPORCZYWYCH ZAPARCIACH STOLCA, ORAZ PRZY NADMIERNEJ OTYŁOŚCI, STOSUJE SIĘ, BEZ SPECJALNEJ DIETY LUB ZMIANY TRYBU ŻYCIA, ŁAGODNIE PRZECZYSZCZAJĄCE



„SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA" „GĄSECKIEGO (z KOGUTKIEM.)

ŁÓDZKO-WARSZAWSKIE TOW. TRANSPORTOWE

WARSZAWA ul. Sienna 94, tel. 5.92-80 i 605-92

ŁÓDŹ, ul. Dowborczyków 9, tel. 206-90

Codzienny przewóz towarów samochodami do Łodzi i z Łodzi.
Zwózka towarów i przewóz maszyn taborem konnym.
Przeprowadzki, ekspedycja kolejowa, magazynowanie towarów i mebli.

MEBLE gwarantować może tylko własna wytwórnia. Stołowy 14 sztuk 430. Sypialnia 10 sztuk 440. Gabinety 460 Salony, machoń 10 sztuk 220. Złocony, orzechowy, fotele futurystyczne, tapczany higieniczne 85. Otomany 120. Stoły rozsuwane 50. Krzesła wyściełane 15, oraz najróżnorodniejsze sztuki

OLKOWSKI Nowy Świat 12, tel. 9-10-93 (firma chrześcijańska).



ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXIX. Nr. 38 22.IX.1934

ZWYCIĘSTWO

A więc mamy już za sobą i drugi Challenge de Tourisme International, wygrany — podobnie jak i poprzedni — przez naszych lotników, lecących na polskich samolotach RWD-9. Tym razem sukces jest jeszcze pełniejszy, niż w roku 1932, gdyż wtedy RWD-6 Żwirki wyposażony był w silnik obcy, dziś zaś maszyna była polska od płatowca do silnika włącznie. Jest to wielki tryumf naszej rodzimej produkcji i konstruktora silnika, inż. Nowkuńskiego ze Skody.

Polska dowiodła światu, że w tej dziedzinie, w której technicy całego świata wiodą nieustanne boje o pierwszeństwo, możemy śmiało zajmować jedno z czołowych miejsc.

Jakby na potwierdzenie tego, że polski samolot i polski silnik jest znakomity, drugie miejsce zajął też RWD-9 z silnikiem Skoda, pilotowany przez Płonczyńskiego, a wszystkie samoloty PZL-26 (oprócz jednego), zaopatrzone w słynny silnik amerykański Menasco, zawiodły właśnie jedynie dzięki defektom tego amerykańskiego „cudu". Na polskiej Skodzie doleciałyby niewątpliwie.

Inne jeszcze zadanie spełnił Challenge, zadanie, którego spełnienia w takiej skali nie spodziewał się po nim nikt, nawet zawodowi optymiści.

W tramwaju, na ulicy, w sklepie, wszędzie rozmawiano tylko o lotnictwie, wszędzie przejmowano się tem, „czy aby nasz Bajanek nie da się, czy go aby Niemiec pod sam koniec nie łupnie?"

To wciągnięcie jak najszerszych mas ludności, zwłaszcza szerokich sfer pracowniczych, w sfery zainteresowań lotniczych jest największym dla nas lokalnym sukcesem Challenge'u.

Kto słuchał uważnie na trybunach w niedziele rozmów prowadzonych przez obojętne naogół dla spraw technicznych niewiasty, ten mógł się przekonać, jak wielka impreza sportowo - techniczna potrafi przyciągnąć uwagę ludzką. Wyrażenia takie, jak górnopłat, dolnopłat, wał korbowy, magneto, sypały się z ust i usteczek, które niewątpliwie ich przedtem nigdy nie wymawiały.

Już sam przylot zawodników z Lotu Okrężnego, jakkolwiek nie zawierał nic fascynującego, zgromadził ogromne, prawie stutysięczne tłumy.

Ludziska czekali cierpliwie od 12 do 17, bo wszyscy chcieli być przy tem, jak Bajan powróci z dalekiego lotu.

U wyjścia mała, dziesięcioletnia dziewczynka, którą rodzice zabrali o czwartej do domu, bo nie mogli się doczekać Bajana, broniła się rozpaczliwie, wołając: „wcale nie jestem głodna, nie będę jadła obiadu, chcę zobaczyć Bajana! Kogo ja widziałam? Tylko kilku Niemców, a ja chcę zobaczyć Polaków i Bajana! Uuuu!".

Rzeczy niesłychane w Warszawie zaczęły się jednak dziać dopiero w niedzielę, w dniu finału.

W atmosferze podniecenia i oczekiwania mijał czas. Wiadomości z trasy, że Bajan i Płonczyński nie dają się goniącemu ich Niemcowi, ba, Płonczyński nawet się od niego oddala, przyjmowane są wybuchami radości.

Wreszcie po godzinnem przeszło czekaniu nadlatuje Bajan. Uniesienie tłumów jest nieopisane. Kapelusze, laski, chorągiewki, wszystko to ulatuje w powietrze, by być bliżej zwycięskiego lotnika, który ląduje po chwili zdaleka od trybun, wiedząc, że w ten sposób ułatwia pracę organom bezpieczeństwa, wstrzymującym publiczność przed wtargnięciem na lotnisko.

Po krótkim czasie zaczynają lądować i inni. Kolejność ostateczną znają już nasi czytelnicy z pism, podkreślimy przeto tylko, że wśród pierwszej dziesiątki zwycięskich samolotów znajdują się aż cztery polskie samoloty RWD-9, w tem jeden w barwach czeskich.

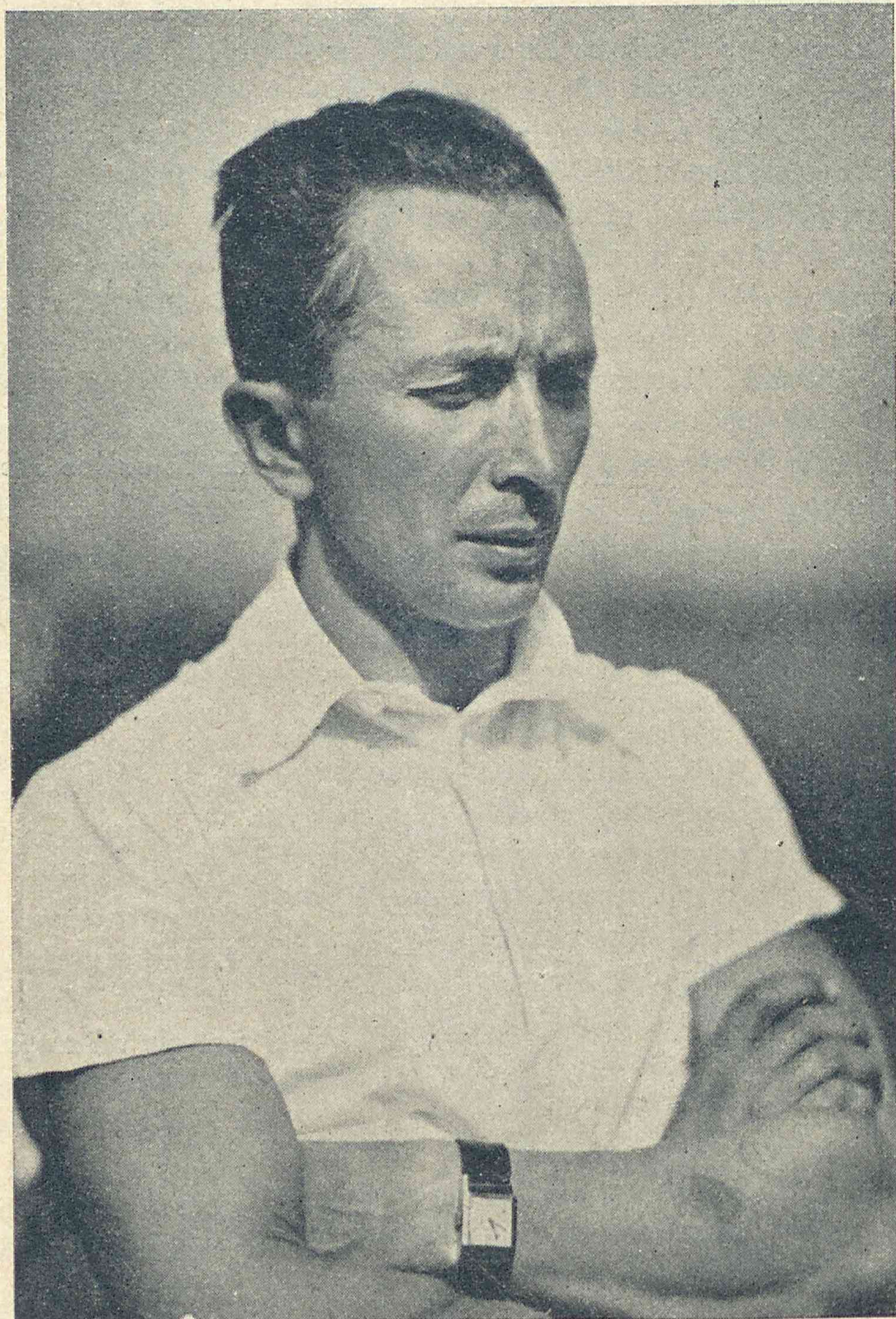
Na ulicy Wilczej zatrzymuje mnie jakaś babina, właścicielka straganiku z warzywami.

„A prose pana, nas Bojon psyleciał najpirsy?"

Ano, psyleciał.. *A. M.*



Pan Prezydent Mościcki po ojcowsku i z radością ucałował zwycięzcę lotu okrężnego kpt. Bajana



Zwycięzca lotu kpt. Bajan

Piątek, 14. IX. r. b. Nastrój w stolicy podniecony od rana. Dziś wracają z uciążliwego raidu zawodnicy Challenge'u; to prawie decydujący dzień, a chociaż w niedzielę ostatnia próba szybkości zdecyduje o wyniku ostatecznym, to jednak dziś już wszyscy odczuwają dreszcz niepokoju; nawet ospali dozorcy domowi tłumnie wylegli przed kamienice, być może po raz pierwszy spojrzeć w błękity z zaciekawieniem: „lecą już, czy nie lecą"?

Tramwaje idące w kierunku lotniska przepełnione, sznur samochodów sunie ku Topolowej, śpieszą się.. „Włodarkiewicz pochłania przestrzeń, może przylecieć lada chwila..." Trybuny przepełnione mimo wczesnej godziny, przeważnie jednak szara publiczność, młodzieży moc: szkoły, studenci i studentki, rozświergotane podlotki.

Wszystkie miejsca po złotówce, nie numerowane, każdy wszędzie usiąść może — komuna. — W loży p. Prezydenta skauty, tuż obok jakaś opasła jejmość kryje swe wydatne wdzięki pod olbrzymim parasolem, na którym cichaczem psotne jakieś rączyny układają w piramidę zwiędłe kwiatuszki i zwiewne papierki.

A tymczasem wieść smutna rozchodzi się lotem błyskawicy: „Włodarkiewicz musiał lądować przymusowo gdzieś koło Oświęcimia,— dzielny Macpherson, który z taką sportową energją dotrzymywał dotąd placu czołowym lotnikom Niemiec, Czechosłowacji, Włoch i Polski, zmuszony był wycofać się, podobno złamał podwozie."

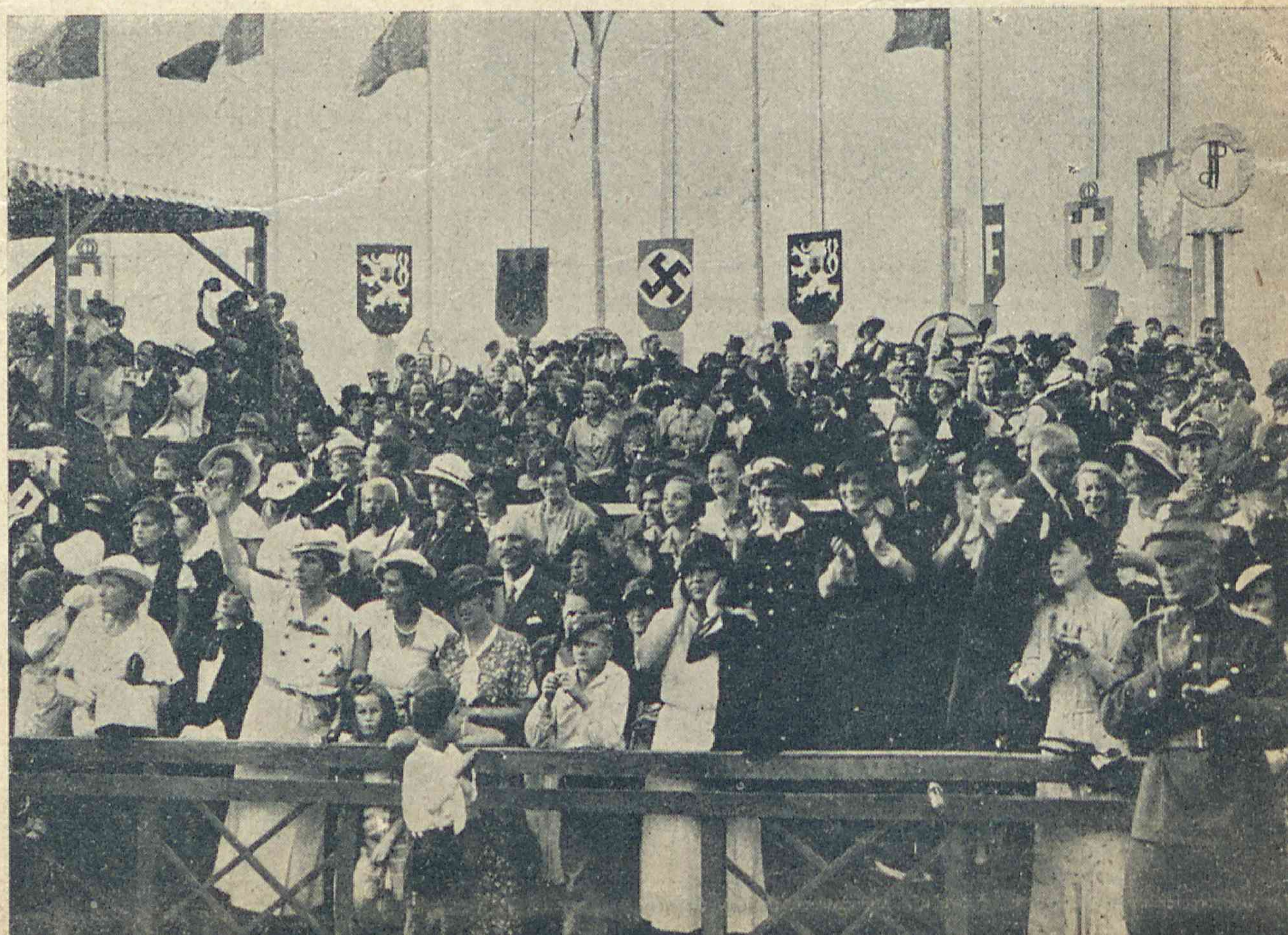
Około godziny 1-szej nowe tłumy publiczności szturmują od Topolowej, brak już biletów, przeszło 50 000 widzów już jest na lotnisku, policja z trudem utrzymuje porządek. Nie liczono się z tak liczną frekwencją, a przecież w dniu dzisiejszym jedna jedyna myśl w całej Polsce, jeden krzyk serca: „Bajan, czy też inny, byle nasz!"

A niebiosa dobrotliwe każą słońcu promieniować jasność i ciepło dla tych, co lecą i dla tych, co patrzą.

Godzina 14,20, jakiś okrzyk: „o leci"!... Zafalowały tłumy i znów okrzyk: „to nasz!" i biało-czerwony PZL 26 kapitana Giedgowda zatacza miękki krąg nad białą linją mety — ląduje... Radość wielka, cieszą się wszyscy, że to Polak pierwszy przyleciał, witają go entuzjastycznie, obrzucają kwiatami. Policja wstrzymuje napór publiczności, która pragnęłaby na rękach wynieść dzielnego pilota, który tak świetny czas uzyskał w przelocie z Wilna do Warszawy. Przecież dopiero o 3-ciej go się spodziewano!

Po nim ląduje Passewald, Seidemann i inni, ale punkt kulminacyjny oczekiwania, to przylot Bajana. Zapowiadają go na godzinę mniej więcej 17-tą. Niepokój wzrasta, temperatura staje się podgorączkowa, już nic nikogo nie obchodzi, Bajan na ustach wszystkich, czas dłuży się nieznośnie.

Leci... leci! publiczność radośnie wita nadlatującego zwycięzcę. W pierwszym rzędzie w loży pani generałowa Rayska





Kpt. Bajan w gronie najbliższych szefów z generałem Rayskim na czele

O godzinie 16.57 ląduje kapitan Bajan. Tłum nie zna już granic szalejącej wprost radości, która go rozpiera. Przerywa kordon policji, pędzi naoślep, jak żywioł nieokiełznany... i kto wie, czy ostałby się cało kapitan Bajan i RWD-9 Nr. 71, gdyby nie nagły a zdecydowany manewr policji konnej, która w okamgnieniu stworzyła około naszego bohatera kordon, tym razem groźniejszy i bardziej zwarty i pod tą zdecydowaną a serdeczną jednak eskortą, przy dźwiękach marsza lotników i huraganowych oklaskach potoczył się samolot wzdłuż trybun. Takiego entuzjazmu nie pamięta lotnisko warszawskie. To już prawie finiszowy tryumf. „Byle nie przedwczesny", szepcą niektóre usta z zabobonną trwogą...!O godzinie 17.23 ląduje Płonczyński lekko i spokojnie; nie znać po nim zmęczenia. Wszyscy nie mniej wybuchowo wyrażają swój entuzjazm, wszak puhar Challenge'u coraz nam bardziej bliski!

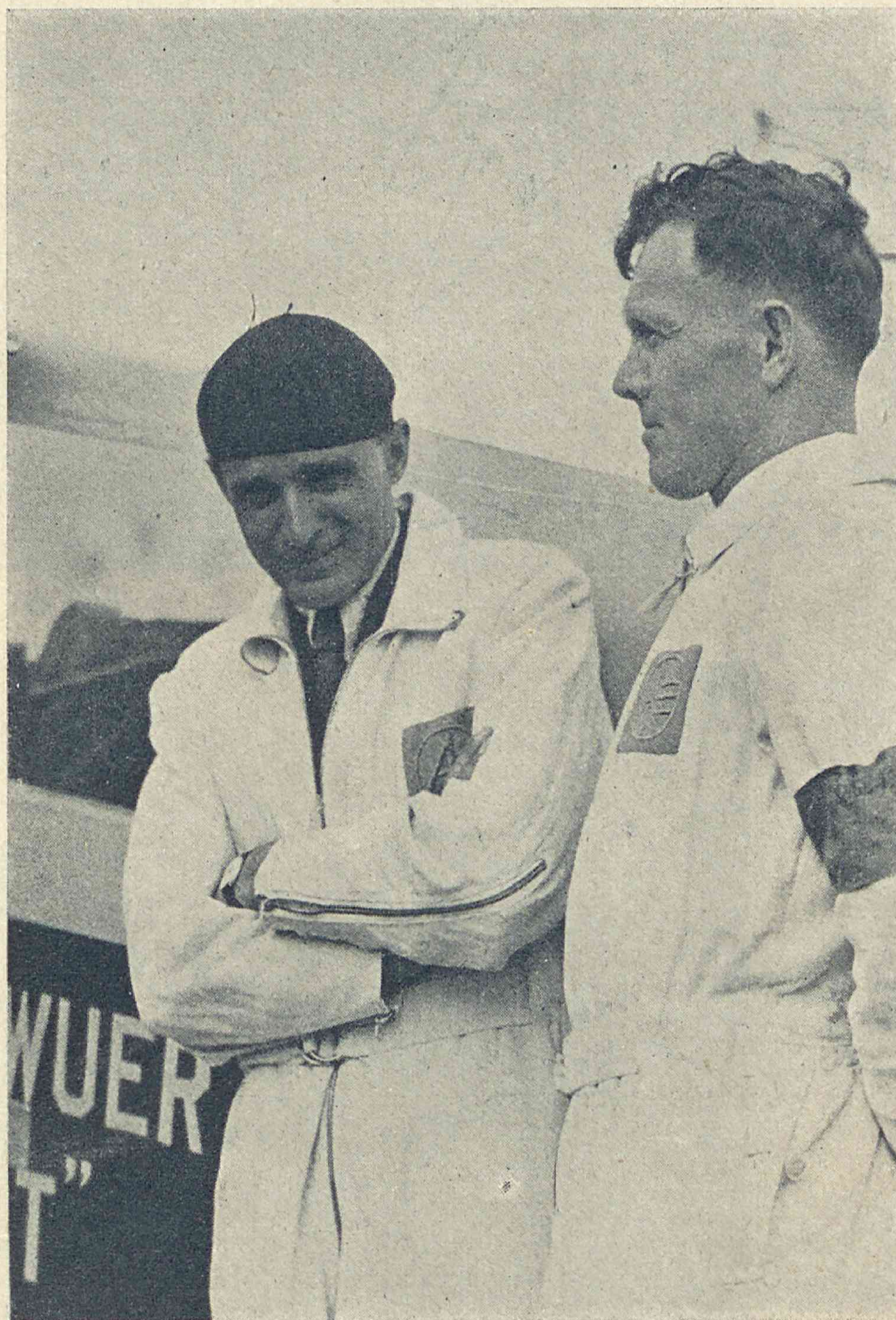
Wreszcie rozchodzi się publiczność po wyładowaniu radości jakaś cicha i skupiona, jakby mimo wszystko w obawie, by nie kusić fortuny zbytnią pewnością siebie, by nie urzec szczęścia, które już się do nas uśmiecha.

Niedziela, 16. IX. r. b. Dzień, który w historji lotnictwa polskiego złotemi głoskami wyryty zostanie, dzień niezapomniany, dzień przedziwny, dzień tryumfu, dzień, w którym naogół dość rozbieżnie bijące serca Polaków biły w jeden takt, kiedy jedno życzenie było na ustach wszystkich!

Mrowie ludzkie już od wczesnego ranka szeroką ławą sunęło na lotnisko, trybuny uginają się, miejsca stojące: głowa przy głowie barwny korowód samochodów w okazanej ilości przysparza niemało kłopotu odpowiednim władzom, które je pomieścić muszą. Nie braknie tu nikogo, wszystkie odłamy społeczeństwa: rząd, duchowieństwo, dyplomacja wypełniają loże po brzegi, a gdzie okiem sięgnąć, hen, hen, lotnisko opasane wstęgą z głów ludzkich, liczącą widzów na 150.000 tysięcy, to nie byle co. A jeśli wierzyć w zbiorową wolę tłumu, to Bajan zwyciężyć musi! Prawie fizycznie wyczuwa się napięcie nerwów wszystkich obecnych. Do chwili startu samolotów nastrój opanowany, lecz gdy zbliża się czas przylotu kapitana Bajana, zdenerwowanie coraz większe ogarnia ogół, a gdy zamajaczył na widnokręgu pierwszy i już zwycięski, zerwała się burza oklasków jak nawałnica, wszystkie piersi poderwały się okrzykiem radosnym, który przycichł na chwilę, gdy kapitan Bajan efektowną świecą tuż przed lożą Pana Prezydenta wzniósł się ponad lotniskiem, niby potężny cudny srebrny ptak i w tę minutę jeden cichy szept był na ustach wszystkich: „dość wysiłków, nie chcemy akrobacji, niech już tylko wyląduje"! —I wylądował zdrów, silny i niezmęczony, a wtedy przez ułamek sekundy zdawać się mogło, że oszalała z radości lawina ludzka zaleje pole wzlotów i wchłonie zwycięskiego Ikara. Lecz mimo wszystko zdyscyplinowane tłumy, ujęte silną klamrą policji, nie ruszyły z miejsca; — huczały tylko grzmoty oklasków i syreny samochodów, nieopisane wzruszenie chwytało za gardło, łzy cisnęły się do oczu najmniej do płaczu skorych; w tej chwili każdy Polak czuł się dumny i szczęśliwy.

A jeśli to możliwe, jeszcze dumniejszy i szczęśliwszy, gdy w ślad za Bajanem wylądował Płonczyński, zdobywając w tej gigantycznej imprezie drugie miejsce.

Kapitan Bajan i pilot Płonczyński, chluba i chwała Polski, tryumfatorzy Międzynarodowego Turnieju Lotniczego, zdobywcy puharu Challenge'u, niech żyją!





Zdobywca drugiej nagrody pilot Płonczyński ze swym mechanikiem Zientkiem





Kpt. Bajan i mechanik Pokrzywka owacyjnie witani przez tłum



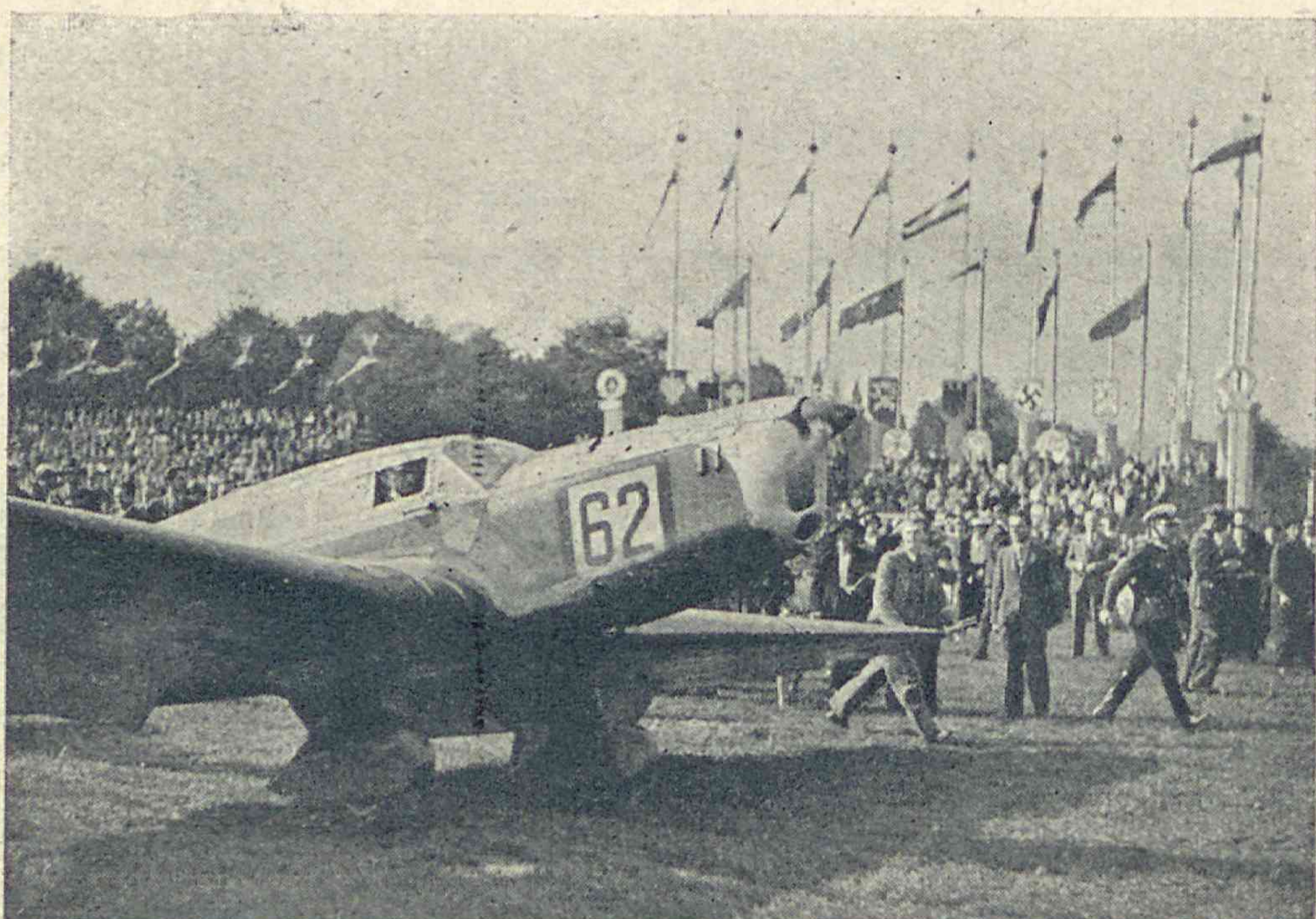


Najcięższy był przelot w Pirenejach

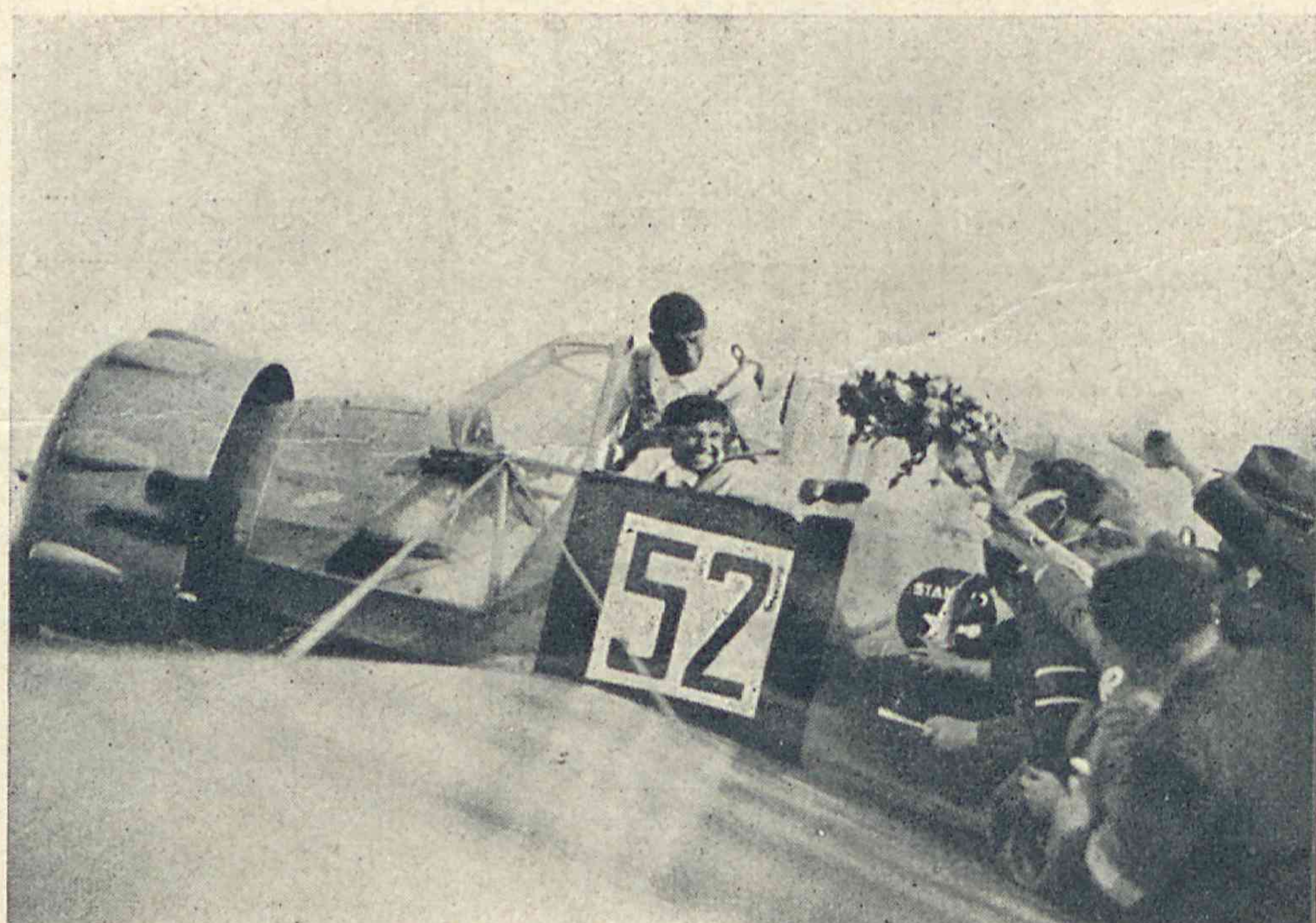


Kpt. Gedgowd pierwszy przyleciał do Warszawy

Płonczyński po wylądowaniu roluje ku trybunom



Powitanie czeskich lotników. Pani radczyni Smutna podaje im kwiaty



ZJAZDY I ZLOTY



Owacje trybun.

Sobota, 15. IX r. b. Po podniebnych wzruszeniach dnia wczorajszego mamy dziś dla urozmaicenia imprezę samochodową, zorganizowaną przez Automobilklub Polski pod nazwą „VIII Polski Zjazd Gwiaździsty do Stolicy" w związku z zakończeniem Międzynarodowego Turnieju Lotniczego.

158 maszyn stanęło do zawodów w kategorji sportowej i turystycznej.

Jedni ruszyli już o północy, by pochłonąć jaknajwiększą ilość kilometrów; większość uczestników zadowoliła się spacerkiem 100-kilometrowym, minimum żądane przez regulamin Zjazdu.

Od godziny 4-tej zaczęły się zjeżdżać maszyny na plac Marszałka Piłsudskiego, gdzie staraniem Automobilklubu został pierwszorzędnie urządzony park samochodowy ze stacją benzynową Nobla.

Do godziny 6-tej przybyło około 140 zawodników, pozostali zjeżdżają z opóźnieniem, za które moc punktów karnych ułowić muszą biedacy!

Dziwne jednak refleksje nasuwają się patrząc na te wszystkie w karnym ordynku poustawiane maszyny. Nic bardziej jak ten przegląd nie ilustruje niestety zmierzchu automobilizmu w Polsce. Mój Boże! kiedy wszędzie zagranicą urządzają jedne po drugich emocjonujące wyścigi samochodowe (z trupami lub bez), na których wozy wyciągają nieprawdopodobne szybkości, że wspomnę tylko: Grand Prix Paryża, Grand Prix Szwajcarji, Targa Florio, Avus, gdzie asy kierownicy, europejskiej sławy, walczą zażarcie o palmę pierwszeństwa, — u nas jako „pendant" do potężnego turnieju powietrznego — Zjazd Gwiaździsty do Warszawy, przebieg stu kilometrowy wystarczy — mówi regulamin.

Doprawdy impreza ta robi wrażenie mrugnięcia powieką człowieka leżącego w letargu!

Oczywiście ani Automobilklub Polski, który z pewnością zadał sobie maksimum trudu — organizacja techniczna Zjazdu bowiem bez zarzutu — ani wysiłki kierowców nic nie pomogą, gdy niema na czem i po czem jeździć w Polsce. Doprawdy nie będzie przesadą, jeśli powiem, że na tych 158 samochodów zaledwie kilka wyróżnia się nowoczesną linją a „le



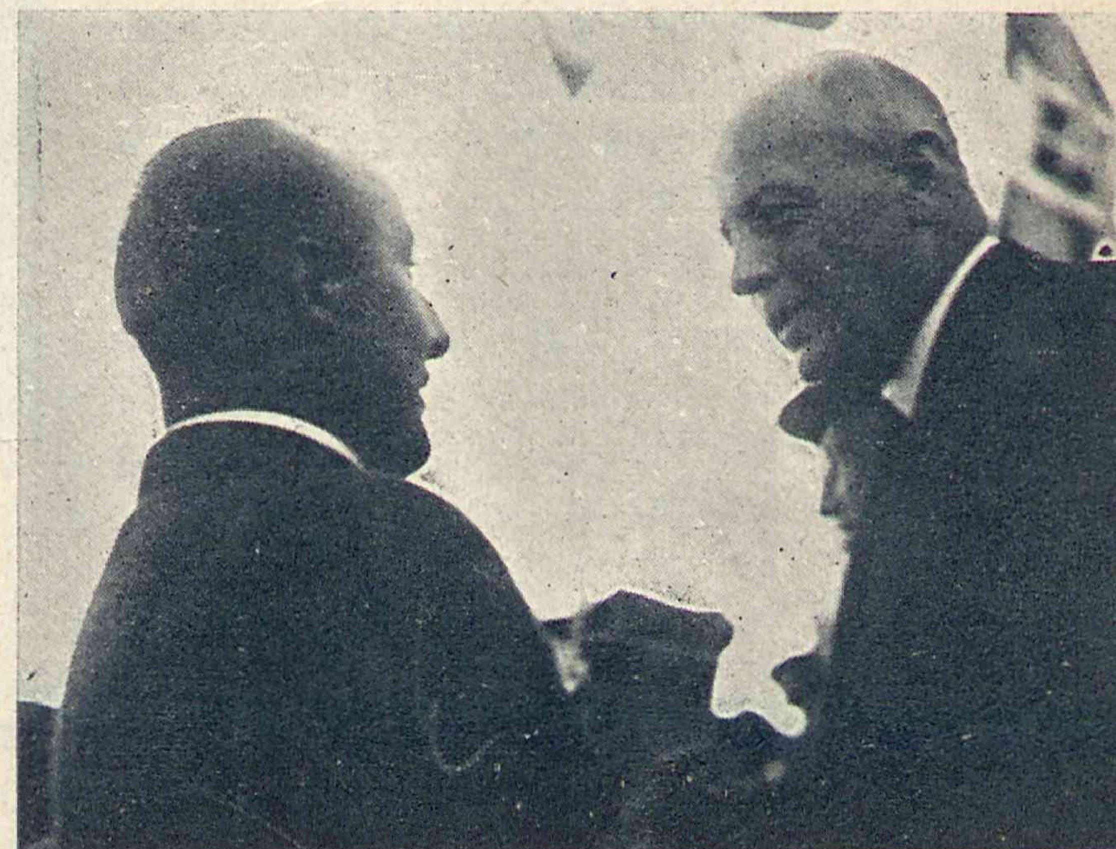
Prezes Aeroklubu, ks. J. Radziwiłł, wita lotnika Passewalda.

gros" to weterany, antyki, nadające się na cmentarz samochodowy. I mimowoli nasuwa się pytanie: „co będzie za rok, kiedy te wyaranżerowane staruszki nie będą już absolutnie zdolne do jakiegokolwiek ruchu".

Wprawdzie stają grupki ciekawych znawców przed piękną, o szlachetnych linjach maszyną znanego kierowcy, p. Żukowskiego, podoba się bardzo wóz ambitnego zawodnika, p. Findera, który machnął nieprawdopodobną ilość kilometrów, tylko coś tam z meldunkami się pokręciło i dlatego zdobył tylko 4-te miejsce w kategorji sportowej, zaciekawia torpedo, które czterech księży sportsmenów na Zjazd przywiozło, lecz znikoma cyfra tych cudności!....

Tem nie mniej jednak i w tym Zjeździe Gwiaździstym są imponujące rekordy: a więc pan Żochowski zdobywa na swym szybkobieżnym Delage'u 1-szą nagrodę w kategorji sportowej, oraz szereg innych cennych nagród, wśród których odznacza się nagroda Vacuum Oil Company, przebiegając 1268 kilometrów, z przeciętną 73. Jak na nasze drogi, wyczyn nie bylejaki.

Lecz p. Żochowski w skromności swej

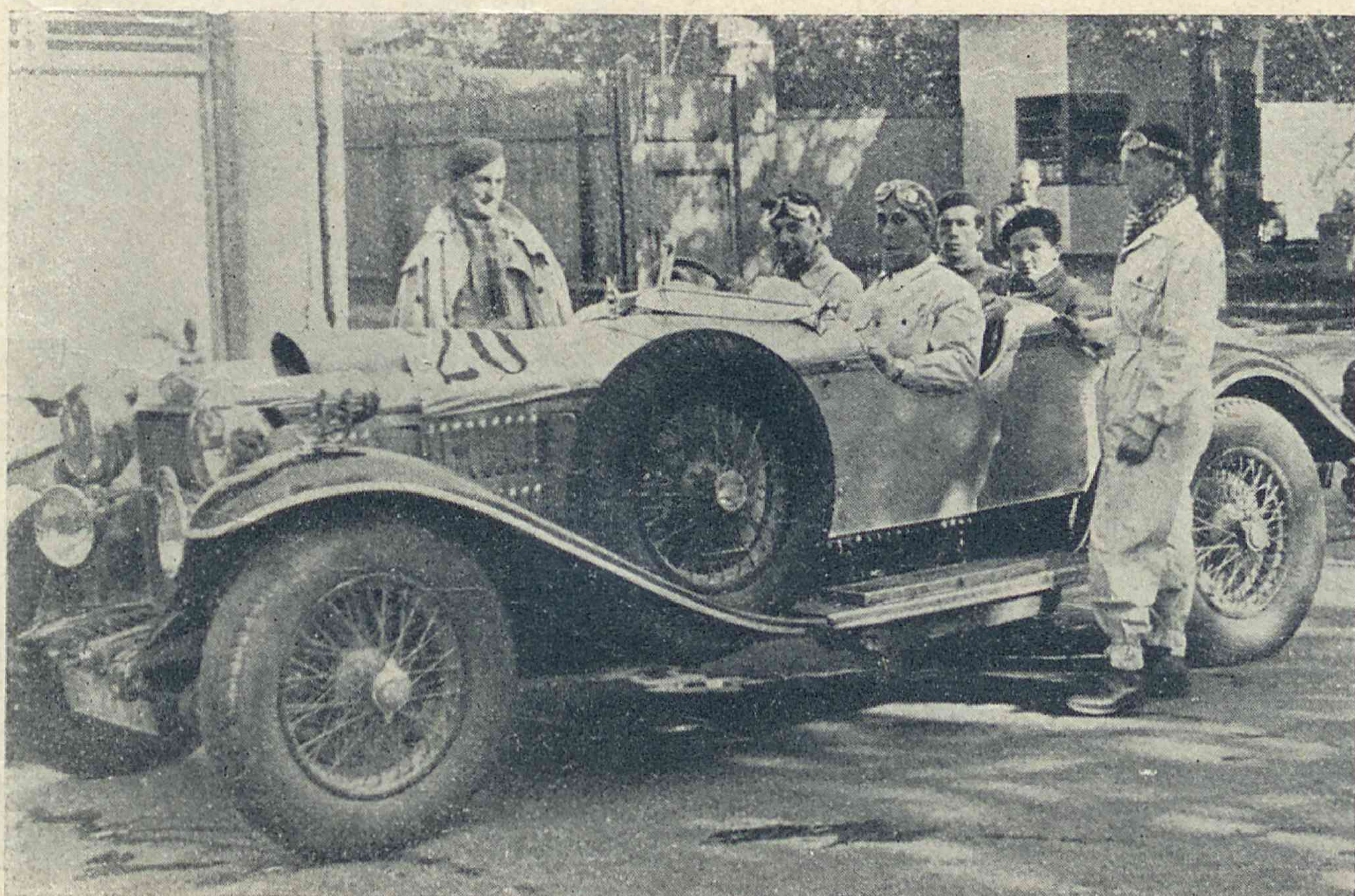


Pilot Seideman wita się z posłem niemieckim von Moltke.

całą zasługę przypisuje Delage'owi, utrzymując, że te duże szybkości wyciągać może na swym wozie dzięki niezwykłemu trzymaniu się drogi Delage'a, sile budowy podwozia, które pozwala na jazdę po najgorszych nawierzchniach z maksymalną szybkością, dowód, że i w kategorji turystycznej zdobywa pan Maryański na Delage również pierwszą nagrodę w konkurencji 144 wozów.

A pozatem jeszcze jeden ciekawy rekord w tym Zjeździe uzyskuje p. Żochowski, a mianowicie: zmienia 14 opon, tudzież przejeżdża 2 gęsi, 7 kur, 11 zajęcy, jedno prosię, bez szwanku dla maszyny, gdyż podobno Delage rzuca tylko od krowy przejechanej wzwyż, więc tamte trofea prócz efektownego upierzenia chłodnicy nie pozostawiły na maszynie śladu!

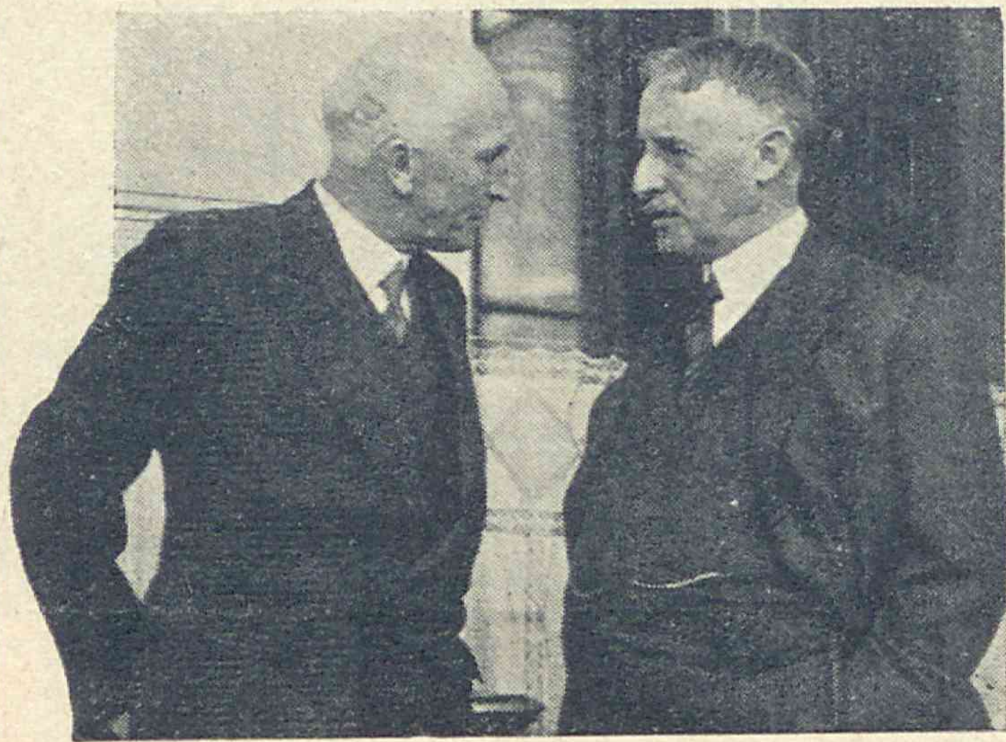
Marja de Lavaux.



Pan Żochowski, zwycięzca Zjazdu Gwiaździstego na swym srebrnym Delage'u.

L. CHRZANOWSKI

WCZORAJ I DZIŚ W GENEWIE



Minister Simon przekonywuje z uśmiechem...

Deklaracja min. Becka, domagająca się w formie ultymatywnej zastosowania powszechności ochrony mniejszości narodowych, oraz wejście Sowietów do Ligi Narodów, to dwa zwrotne wydarzenia w polityce międzynarodowej. Przez długi czas decydować one będą o biegu wypadków i odcisną swe znamię na układaniu się stosunków pomiędzy państwami.

Deklaracja min. Becka położyła kres tej niesprawiedliwości, jaką stosowały mocarstwa wobec Polski w Genewie.

Moraliści, którzy stroili się w togi humanitarnych sędziów, aby orzec, czy jatka Hansa Müller'a w Katowicach jest „mniejszościowo gnębiona", skoro od jej właściciela wymagane jest stosowanie się do przepisów hygjenicznych; pedagodzy dyplomatyczni, badający, czy mały Schmidt może chodzić do szkoły położonej o trzy kilometry, czy też może należałoby przysuwać mu budynek szkolny codzień o pół kilometra — nagle głuchli i ślepli, gdy chodziło o tysiące Jaśków, Bartków, Kaś i Zosiek, które po drugiej stronie kamienia granicznego *nie miały za sobą opieki traktatu ochrony mniejszości.*



Minister Beck swą deklaracją skupił na sobie uwagę

Mocarstwowe Niemcy, które od traktatu Wersalskiego prawnie i dyplomatycznie wysilały się tylko nad ominięciem i niewykonaniem traktatów i nad faktycznie zmienianem status quo, nie miały tego traktatu, natomiast Polska, która wszystkie swe zobowiązania finansowe i polityczne wypełniała jaknajskrupulatniej — Polska była pod moralną kuratelą mniejszościową.

Zacytowaliśmy przykład Niemiec, bo ten nas najbliżej dotyczy, ale gdybyśmy chcieli, moglibyśmy multyplikować przykłady mocarstwowego humanitaryzmu.

Deklaracja polska kładzie kres nierówności, deklaracja polska nie pozwala na przyszłość wglądać w sprawy struktury wewnętrznej państw nie posiadających dotąd przymiotnika „mocarstwowe". Nie dopuszcza przypisywać złej woli państwom do mocarstw nie zaliczonym i dobrej woli nie oddaje w pacht wyłącznie mocarstwom.

Dwa atuty ma za sobą deklaracja polska—domaga się ona ochrony mniejszości wszędzie, niema



Barthou konferuje z dziennikarzami; otaczają go koresp. Havasa Ruffin, Aj. Szwajcarskiej Filio!, „Temps'a" — Lay'a



Litwinow zawsze uważnie bada przedstawione mu dokumenty, obok niego poseł sowiecki w Helsinkach — Stein, nieco dalej widoczny delegat Polski p. Raczyński

więc w niej tendencji i nastawienia nietolerancji, niema w niej chęci skazywania mniejszości narodowych, gdziekolwiek one istnieją, na widzimisię biurokracji. Drugi atut, to zasada równości państw, postawiona i podkreślona jaskrawo, równości moralnej i prawnej i dlatego, sądzimy, atut ten odpowiednio wykorzystany winien zjednać uznanie i zrozumienie dla Polski wśród wszystkich mniejszych państw świata.

Pan min. Beck podkreślił, iż od 12-tu lat bezskutecznie starano się uzyskać przyjęcie jednolitej i powszechnej kontroli nad sposobem traktowania mniejszości. Przypomniał wielką rozprawę na 6-ej komisji XI Zgromadzenia Ligi. Uwypuklił więc ciągłość polityki polskiej w tej sprawie od lat. Przypomniał również bez ogródek, jak traktaty te stawały się narzędziem presji — a, dodajmy od siebie bez dyplomatycznych owijaczy —szantaży! Ileż to razy poprzednik min. Becka czy od Stresemana, Brianda, Chamberlain'a, generalnego sekretarza Ligi—że wymienimy tylko grube ryby—był temi traktatami przypierany do muru „mocarstwowego humanitaryzmu", gdy bronił praw Polski. Co spowodowało pasję i karczemny wybuch Stresemana w Lugano, jak nie wykazanie również tej nierówności traktowania naszych mniejszości? Deklaracja min. Becka zamyka rozdział walk i targów dyplomatycznych— jest ona nietylko wyrazem samopoczucia równorzędności Polski i jej głosu w sprawach światowych, jest ona wyrazem tendencji sprawiedliwości i realizmu politycznego. Sprzeciwia się ona bowiem, aby dla uniknięcia traktowania przez niektóre państwa pewnej części obywateli, jako obywateli „drugiej klasy" — uświęcano zasadę stwarzania całych narodów „drugiej klasy".

* * *

Wejście Sowietów do Ligi Narodów jest niewątpliwie sukcesem Ligi, jest według wszelkiego prawdopodobieństwa wyrazem pokojowej woli współpracy Sowietów. Z tego punktu widzenia wydarzenie to jest niewątpliwie krokiem na drodze utrwalania pokoju. Jest to więc wydarzenie dodatnie i olbrzymiej wagi.

Nie należy jednak zapominać, iż najlepsze programy, najwznioślejsze zasady i najpiękniejsze hasła zależne są od ich wykonania, od metody przeprowadzenia i wcielania ich w życie.

Nie zapominajmy, że dotychczasowa polityka Sowietów była zwalczaniem i dyskredytowaniem Ligi Narodów. Tego nastawienia psychicznego nie da się tak odrazu odmienić i pod innym nastawić kątem.

Nie kwestjonując pokojowych intencji Sowietów, nie możemy obrażać ich ideologji — a ideologja to zdecydowanie antyburżuazyjna, antykapitalistyczna, ideologja rewolucji socjalnej jest przecież wyznaniem programowem Sowietów. Dziecko lub arogant polityczny mógłby wierzyć lub insynuować Sowietom, iż zaparły się swego programu — zniszczenia istniejących systemów państwowych. Na razie rzecz prosta propaganda czy akcja ta nie będzie wykorzystywała Ligi Narodów. Trzeba jednak pamiętać, iż przystąpienie do Ligi daje Sowietom prawo nietylko do posiadania zastępcy generalnego sekretarza Ligi, ale również do kilkudziesięciu urzędników i urzędniczek w sekretarjacie. To oznacza, że w centrum zagadnień dyplomatycznych, w ośrodku przygotowań, w miejscu, gdzie rodziło się i rodzi wiele przyszłych poczynań dyplomatycznych, Sowiety posiadać będą kilkunastu czy kilkudziesięciu pracowników „wrogów reżymów i dyplomacji burżuazyjnej". Nie muszą być oni nielojalni wobec Ligi — oni będą tylko znali wszystkie zamierzenia światowej dyplomacji. Pamiętamy, jaki cenny materjał dla dyplomacji niemieckiej stanowili jej pracownicy w Lidze. Nic nie przesądzamy — notujemy tylko „fakt nowy".

Sowiety weszły do Ligi z intencją pracy pokojowej. Weszły w czasie nieobecności Japonji i Niemiec, którym to państwom przypisywana jest nieżyczliwość wobec Sowietów.



Titulescu i Politis omawiali sprawę ochrony mniejszości



Delegat Indji — miljoner, właściciel olbrzymiej stajni wyścigowej Aga-Han zawsze jest w dobrym humorze



Ongis Jouhaux delegat robotniczy konferował z przedstawicielem rolnictwa Lacroix

ŚWIAT TEATRU



Jaracz, świetny wykonawca niemej roli zafukanego Dulskiego

TEATR AKTORA

„Moralność Pani Dulskiej" — Tragikomedja kołtuńska w 3-ch aktach Gabrjeli Zapolskiej. Reżyserja Stanisławy Perzanowskiej. Dekoracje Wł. Daszewskiego.

„Moralność Pani Dulskiej" zrobiła swoje w rozwoju polskiego teatru i w obyczajowości polskich tak zw. „wyższych dziesięciu tysięcy".

Sztuka ta ma swoje nieprzedawnione, żywe sytuacje i akcenty, tak jak żywą i wieczną jest obłuda ludzka. Ma tony i „perory" przestarzałe, bo to, co ongiś było pruderyjnie ukrywanym występkiem, dzisiejszego świata nie gorszy; przyzwyczajono się, wciągnięto, unormalizowano! Refleksja pierwsza, jaka musi się nasuwać podczas słuchania Pani Dulskiej, to świadomość, jak ta sztuka jest świetnie, konsekwentnie zbudowana. Akcja płynie jak potok, djalog pisany jest dla wypowiedzenia się a nie dla przypodobania się gustom i guścikom.

„Osoby" — to typy wykończone, pulsujące życiem — a to, co „myszką trąci", to „dobrą myszką".

Teatr Aktora — dał sztuce Zapolskiej wielce staranną i przemyślaną reżyserję, wzorowo kołtuńskie dekoracje i pierwszorzędny zespół. Na całości — od rólki Tadrachowej aż do młyna wymowy i ruchliwości, pani Dulskiej, widoczna była świadoma i dobra reżyserja. Nie będziemy się spierali o te lub owe rysy czy drobne usterki — całość była wzorowa. Perzanowska jako Dulska impetem oszałamiała, brutalnością i obłudą celebrowała na zmianę wprost konkursowo.

Jaracz milczał — ale jak milczał. Gdyby takie wymowne niemowy były na wszystkich scenach polskich to djalog nigdyby nie szwankował i zawsze byłby zrozumiały. Taką milczącą dykcję, jak Jaracz, może dać tylko wielki artysta. Jaracz budził śmiech, politowanie, był zafukanym biurokratycznym pantoflem — tylko jego oczy, gest, mimika mówiły, pożądały, bały się, buntowały, gasły!

Świetną parę pensjonarek stworzyły Jaraczówna i Zarębińska — obie artystki mają tak naturalną, pozbawioną emfazy i minoderji intonację i gestykulację, że ani razu nie miały fałszywego gestu czy poruszenia. Oczekujemy ich w następnych rolach.

Dwie artystki „rewjowe" znalazły się w zespole teatru Jaracza, pardon Aktora: Zimińska i Żelichowska.



Mira Zimińska zbierała huczne oklaski za grę i strój

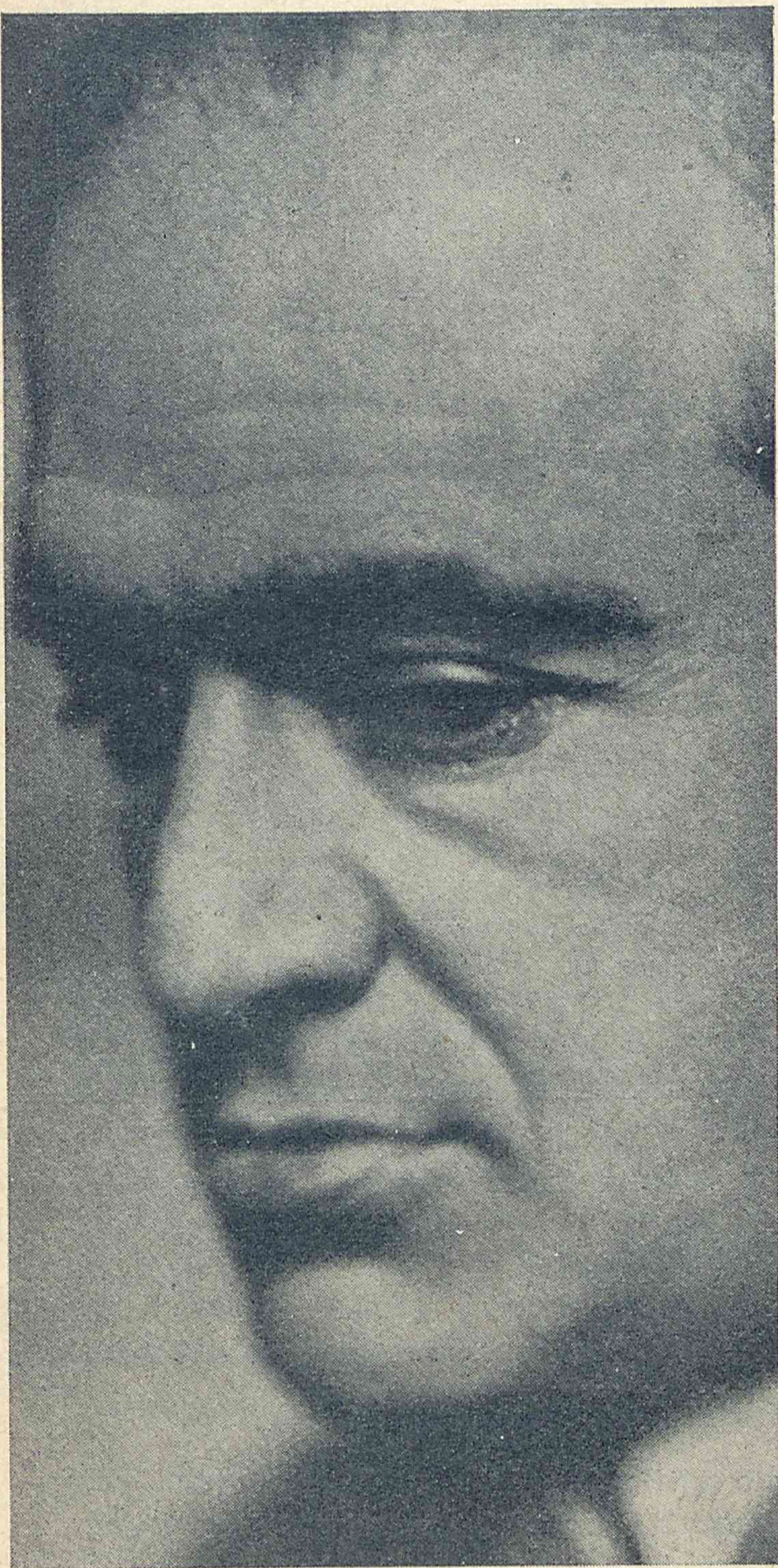
Zimińska roztoczyła przed nami wachlarz swojej finezji; minoderja „kokiecicy" z fin de siècle'u była dozowana z precyzją, jak na aptekarskiej wadze odmierzana trucizna — ani jednego ziarnka za dużo, ani szczypty za mało. Zewnętrznie dała ona doskonałą groteskę, ale w grze utrzymała się świetnie na właściwej linji „tragifarsy" — nie wpadając w groteskowe tony i nastroje.

Żelichowska wyłamuje coraz częściej z rewji, ku scenie prawdziwej. Może to być z wielkim pożytkiem dla sztuki polskiej. Wśród najmłodszych artystek Żelichowska jest niewątpliwie najciekawsza, o nieokreślonych dotąd możliwościach. Są zapewne inne artystki równie jak ona utalentowane, ale Żelichowska posiada to coś niesłychanie cenne— niezwykłą intuicję. Czy w rewji, w deklamacji, sztuce czy skeczu, w każdem jej słowie, intonacji tętni wprost żywiołowa instynktowna intuicja. W mądrych, dobrych, troskliwych rękach reżyserskich może z niej rozwinąć się wielka artystka, tragiczka czy o skali bardziej rozległej, nie przesądzamy dziś. Zarówno jej wczorajsza Hanka, jak ostatnie recytacje w Bandzie, jak fragmenty z sentymentalnej Migo świadczą, że skala jej talentu może być niezwykle rozległa. Atmosfera dobrego teatru może ten rozwój przyspieszyć. Reżyserja wnikliwa winna specjalną pieczą otoczyć te wielkie możliwości. *L. Ch.*



L. BINENTAL

HUBERMAN W FILHARMONJI



Bronisław Huberman

Bronisław Huberman przybył do Warszawy, aby stanąć na estradzie z własnej woli, z wewnętrznej potrzeby niesienia pomocy nędzy ludzkiej. Huberman przyjechał specjalnie ze stolicy Anglji, aby oddać swój talent na usługi komitetu, działającego pod hasłem: „Oschła już ziemia, osuszmy łzy".

Występ genjalnego skrzypka patronowany był czynnie przez Panią Prezydentową Ignacową Mościcką, a na estradzie współdziałali bezinteresownie z artystą: wybitny dyrygent, Grzegorz Fitelberg, i filharmoniczna orkiestra symfoniczna.

Pomimo bardzo wysokich (jak na nasze stosunki) cen biletów wejścia, salę Filharmonji wypełnił zwarty tłum słuchaczów.

* * *

Wdzisiejszych czasach, gnanych wichrem niepokoju; w epoce gloryfikacji siły i prężności ciała; w czasach, kiedy serca biała gorączka ogarnia na wieść o współzawodnictwie rakiet, piłek, pięści... tłum entuzjastów muzycznych, blisko 2000 głów liczący, w grę Hubermana zasłuchany, może się wydać czemś nie z tego świata.

Taka jednak była chęć serdeczna znalezienia się „oko w oko" ze sztuką mistrza skrzypcowego, takie pożądanie wzięcia udziału bezpośredniego w komunji z tajemnicą jego gry, że nawet Radjo (nadające tym razem koncert Hubermana — za co ofiarowało na rzecz powodzian 10.000 zł.), ten arcysilny konkurent *żywej muzyki*, nie stanowiło przeszkody w powodzeniu koncertowem.

A tajemnica gry Hubermana jest wyjątkowo pociągająca. Mało jest odtwórców muzycznych, którzy przemawialiby tak doskonałym językiem interpretacyjnym, jak on, językiem tak głęboko sięgającym w treść rzeczy, tak wysubtelnionym w swej stylizacji.

Piękno jego mowy skrzypcowej wyrosło z żaru serca i rozwagi artystycznej, z umiejętności przenikania sensu odtwarzanego dzieła, z bratania się duchowego z twórcą.

Wszystko w jego interpretacji jest jasne: głębia myśli Bacha, uskrzydlona przez niego wstęga szeroko rozpiętej melodji, wigor jego rytmiki; romantyczna żywiołowość koncepcji i bujność frazy Beethovenowski; klasycyzujący, liryczny, powiewny utwór Mendelssohna; mocno zbudowana, pełna żywych kontrastów kompozycja Brahmsa...

Huberman zawsze pamięta, że „źródłem, zasadą wszystkich kunsztów jest poezja; mechanizm służy tylko przedsięwzięciom artysty; uważać go należy, jako środek potrzebny do osiągnięcia zamierzonego celu i rozwiązania pewnych zagadnień..." — dlatego majsterstwo Hubermana jest tak wyjątkowo pociągające, tem więcej, że jego technika jest wszechstronna, wsparta o jaknajszerszą znajomość wszelkich tajników duszy skrzypiec. Artysta ten zna wartość każdej cząstki smyczka, w sposób idealny umie go wyzyskać na korzyść ekspresji muzycznej i barwy dźwiękowej. Wszelkie odcienia kolorystyki skrzypiec grają swą intensywnością, blaskami najsubtelniejszych stopniowań. W pociągnięciach jego smyczka jest zdecydowanie i śmiałość, lekkość i dyskrecja — dźwięk jest naprzemian męski i hardy, miękki i słodki.

Lewa ręka Hubermana nie pozostaje w tyle za prawą: inwencja w wymyślności palcowania, w poszukiwaniach pozycyjnych sięga nadzwyczaj daleko, nie mówiąc, oczywiście, o tem, że biegłość palcowania nie zna tutaj żadnych przeszkód w rozwiązywaniu najzawilszych formułek technicznych.

Każdy występ Bronisława Hubermana jest nietylko niepowszednią manifestacją artystyczną, ale i piękną lekcją poglądową dla wszystkich nauczających i uczących się, na temat ukrytych w skrzypcach skarbów możliwości artystycznych, które zdolna okazać jest światu ręka genjalna, ale zaprawiona jednocześnie w świadomym, nieustannym trudzie, wciąż poszukująca coraz szerszych gościńców doskonałości.

* * *

Koncert Hubermana w Filharmonji przypomniał warszawianom, że stolica posiada w swych murach tę instytucję koncertową. W stałych bywalcach w gmachu na Jasnej Huberman zaostrzył apetyt koncertowy. Zwykle rokrocznie o tym czasie byliśmy w przededniu sezonu koncertowego. Obecnie panuje zupełna cisza.

Nietylko nie omawia się najbliższej kampanji artystycznej, ale nie wiadomo, czy i kiedy się ona rozpocznie. Kursują jedynie „on dit". A mówią różnie. Raz po raz jest kto inny.. „na cenzurowanem": sadza się na krześle zarząd gmachu Filharmonji, orkiestrę, dotychczasowego kierownika koncertów...

Plotki, ploteczki idą w świat! Kiedyż wreszcie właściwe czynniki głos zabiorą w sprawie, która interesuje muzykalny ogół Warszawy, całe wreszcie społeczeństwo kulturalne.

Rąbek tajemniczych waśni pierwszy uchylić winien zarząd Filharmonji, jako właściciel gmachu, w którym od latześrodkowało się symfoniczne życie nietylko stolicy, ale i kraju całego, jako bezsporny „pan sytuacji", ostatnio wytworzonej.

TYDZIEŃ ŚWIATA

Przyszły akademik

Na fotel po marszałku Lyautey w Akademji Nieśmiertelnych kandydować będzie zwycięzca na froncie wschodnim, marszałek Franchet d'Esperey. Zasługi dowodzącego armją, która przełamawszy opór bułgarów, izolowała Niemcy, pozbawiając ich sojuszników, coraz częściej są obecnie uwypuklane we Francji. Z racji tej kandydatury marszałka Franchet - d'Esperey do Akademji przypomniano sobie różne momenty z jego karjery.

Dziwnym zbiegiem okoliczności w dniu kiedy odniósł on swe zwycięstwo — 27 września 1918 roku, decydowano o jego dymisji, szukając jego następcy. Właśnie członkowie gabinetu i wyżsi oficerowie dyskutowali z prezydentem Poincaré, który był przeciwny tej decyzji, kiedy rozległ się telefon. Poincaré ujął za słuchawkę. W aparacie usłyszał głos zwolennika dymisji marsz. Franchet - d'Esperey'a — głos Clemenceau.

„Jaką pan prezydent chce usłyszeć nowinę, złą czy dobrą?" — pytał rubasznie Clemenceau.

— Chyba że wolę dobrą — odparł zlekka urażonym tonem Poincaré.

— No to służę, front bułgarski złamany, Bułgarja przestała być nieprzyjacielem.

W kilkanaście minut po tej wiadomości Clemenceau wkroczył na salę obrad w pałacu Elizejskim; dwaj kierownicy Francji, tak często wzajemnie sobie dokuczający, padli sobie w objęcia. O dymisji dzisiejszego marszałka — wówczas generała Franchet d'Esperey nie mogło już być mowy.

Antysowiecka Szwajcarja

(w.) Szwajcarja nie ustąpiła dotąd i konsekwentnie sprzeciwia się przyjęciu Sowietów do Ligi. Wobec tej decyzji Litwinow wykrzyknął któregoś dnia niemal ze zgrozą: „Kto by się tego spodziewał! Kiedy przed wojną miałem zabroniony wstęp niemal do wszystkich krajów na świecie — Szwajcarja była jedyną w Europie, gdzie mi nie odmówiono azylu. Dziś ona jedyna zamyka mi drzwi wejściowe!"

Handel śmiercią rentuje

Komisja śledcza senatu amerykańskiego, wyłoniona dla zbadań intryg i „działań" handlu bronią, odsłoniła już wiele sensacyjnych szczegółów i obyczajów. Tak więc, badając kierowników towarzystw amunicyjnych, komisja „odkryła", iż „Electric Boat Company" sprzedało Japonji i innym krajom patent najnowszego modela łodzi podwodnej, co przyniosło olbrzymie dochody. Stany Zjednoczone były przy tej okazji traktowane.... na równi, jak każdy inny kraj cudzoziemski.

„Electric Boat Company" i zakłady „British Vickers Armstrong" podzieliły świat między sobą. Tajnym układem ustaliły te wielkie towarzystwa handlu bronią, że sprzedaż łodzi podwodnych i podział zysków dokonywane będą bez jakichkolwiek względów „patrjotycznych".

Przewodniczący Rady Administracyjnej „Electric Boat" Henry R. Carse zeznał, iż towarzystwo otrzymywało prowizję procentową od wszystkich kontraktów na łodzie podwodne, jakie „Vickers" zawarł w Europie.

W ten sposób dwaj konkurenci, stworzywszy międzynarodowy trust, zarabiają nawet gdy „interes" robi konkurent!

Jest to istotnie handlowa perfekcja handlarzy śmierci — do jakiej inni producenci nie doszli.

„Vickers" zastrzegł sobie wyłączność działania na terenie Imperjum Brytyjskiego, natomiast „Electric Boat", który ostatnio uzyskał zamówienie Stanów Zjednoczonych na trzy łodzie podwodne, miał wyłączność tego handlu ...z Japonją, o której rywalizacji ze Stanami ciągle słyszymy, z Francją, Brazylją, Włochami, Peru, Finlandją, Kubą. Pozostałe „punkty" świata pozostawione zostały wolnej wzajemnej konkurencji.

Między 1916 a 1927 rokiem wszystkie patenty „Electric'u" odstąpione zostały „Vickersowi", który je odprzedał: Japonji, Holandji, Australji, Hiszpanji. „Electric" wolał, aby te zamówienia otrzymał „Vickers", niż aby je zdobyły trusty niemieckie, włoskie czy inne.

W czasie dochodzeń komisji zapytano jednego z zeznających, czy Bazyli Zaharow jest jednym z głównych akcjonarjuszy „Vickers'a". Odpowiedź była potakująca. Zapytany o dochody Zaharowa, dyrektor administracyjny Carse oświadczył, iż za okres 1919 —1930 Zaharow otrzymał 766.099 funtów szterlingów tytułem prowizji za dostawy „Electric Boat'u" dla Hiszpanji, i że jego normalna prowizja wynosi 5%.

Prowizja przeszło 14 miljonów złotych za dostawę dokonaną przez konkurencyjną firmę i to do jednego tylko kraju — oto „fragmencik", świadczący o dochodach handlarzy bronią.

Znany multimiljoner, grek przebiegły i obrotny Zaharow jest jednym tylko z tych żerujących na wojnach i rewolucjach agentów. Działa on w Europie zarówno dla „Vickers'a", którego akcje posiada, jak i dla „Electric", od którego bierze prowizje.

Rynki zbytu kurczą się, fabryki stoją, producenci rolni łamią ręce, zdolność nabywcza mas spada, ale Zaharowy, Carse'y, Spear'y, Electric'i, Vickers'y — nie odczuwają kryzysu. Liga Narodów duma i układa paragrafy zakazów — a broń podwodna, napowietrzna, laboratoryjna wędruje, zmienia właścicieli, bogacąc handlarzy - hyjeny, zarabiających miljony.



W kościele św. Aleksandra w Warszawie odbył się w tych dniach ślub p. Marji Zdziechowskiej z ks. Januszem Sapiehą.

„Tryumwirzy"

(x) Od czasu plebiscytu niemieckiego i głosowania za Hitlerem kursuje w Niemczech wiele anegdot. Wśród nich trio: Hitler, Goering, Goebbels często jest ulubionym tematem.

Według jednej z tych historyjek, na drugi dzień po głosowaniu Hitler wezwał oddanego sobie Rudolfa Hessa i miał z nim długą konferencję na temat „jednogłośnych" Niemiec.

„Nie chcę żadnych uzasadnień— zakonkludował Hitler — na przyszły raz nie życzę sobie, aby było choć jedno „nie".

— Ale, Wodzu — odparł Hess— czy nie myślisz, że jest to bardzo trudne? Zawsze istnieją ludzie przeniknięci złą wolą! —

— „Masz rację"—odparł Hitler, zamyślając się na chwilę. Ale niezwłocznie dodał — „a jednak muszę i chcę mieć jednogłośność!"

Po chwilowej pauzie, zamyślony Wódz dorzucił: „Na przyszły raz pozbawię prawa głosu Goebbels'a i Goeringa".



Ks. Maryna grecka, narzeczona drugiego syna króla angielskiego — Jerzego, czyni w Paryżu liczne zakupy na swą wyprawę.

Dr. Josetti–wielbiciel Chopina

W kongresie przeciwgruźliczym brał udział w charakterze oficjalnego delegata brazylijskiego dr. Rodolpho Josetti, wybitny chirurg z Rio de Janeiro. W czasie swego pobytu w naszej stolicy zyskał p. Josetti dużą popularność, w szczególności w kołach muzycznych, albowiem każdą wolną chwilę od prac, związanych z kongresem, a po jego ukończeniu całkowity już czas poświęcał na szukanie kontaktu z osobami ze świata muzycznego, na informowanie się o stanie posiadania naszej muzyki.

Zainteresowania p. Josetti'ego biegły po linji informacji czysto artystycznych i propagandowych, bowiem poza medyczną specjalnością jest on entuzjastycznym amatorem muzyki i mecenasem sztuki, a nadto dąży do pogłębienia kultury artystycznej swych rodaków nietylko przez organizowanie rozmaitych imprez, ale i przez metodyczne zapoznawanie brazylijczyków z dorobkiem twórczym większości krajów europejskich. Działalność tę rozwija z rozmachem jako prezes „Cociedade de Cultura Artistica.

P. Josetti jest zdecydowanym przyjacielem naszego kraju i pragnie gorąco, aby w Rio de Janeiro sztukę polską spopularyzować, a w pierwszej linji — sztukę dźwiękową. Powiada, że rzeczy tej dokonać można łatwo, w sposób całkiem naturalny, gdyż Polacy na terenie brazylijskim cieszą się ogromną sympatją, która wciąż się pogłębia dzięki popularności p. d-ra Tadeusza Grabowskiego, naszego posła w Brazylji, będącego — według słów p. Josetti'ego — najmilszą postacią dyplomatyczną w Rio de Janeiro.

Miałem możność prowadzenia z p. Josetti'm wielokrotnych rozmów. Poruszając tematy Chopinowskie, dr. Josetti'ego ogarniało wyjątkowe wzruszenie, wielbi on, bowiem, specjalnie genjusz Chopina, a w dodatku w Warszawie, w mieście Fryderyka, zdawał się być bliżej jego postaci. Liczne listy, rękopisy Chopina, dokumenty rodziny Chopinów, które oglądał sympatyczny brazylijczyk, wprowadzały go w stan ekstazy. Może był pierwszym mieszkańcem Ameryki południowej, dotykającym się relikwji chopinowskich! P. Josetti składał na pożółkłych kartkach, pokrytych drobnem pismem Fryderyka, pocałunek uwielbienia... Przed fortepianem Chopina i jego maską pośmiertną (w Muzeum Narodowem) stał jak w ziemię wrośnięty...

Kiedy, oprowadzając p. Josetti'ego po Krakowskiem Przedmieściu, opowiadałem mu o Chopinie w związku z tą ulicą, z którą, jak wiemy, wiążą się jego studja konserwatoryjne, licealne, długoletnie tam zamieszkiwanie, granie na organach kościelnych, wielka twórczość, bezpowrotne opuszczenie Warszawy, wreszcie, kiedy stanąłem z nim w kościele Ś-tego Krzyża przed tablicą marmurową, kryjącą serce Fryderyka Chopina, był cichy, skupiony, milczący, jakby w lęku, aby nie spłoszyć tych chwil wyjątkowych w swem życiu, aby mocno, na stałe wryć je w serce...



dr. Josetti widziany przez Jotesa

Kilka dni przed wyjazdem powiedział mi p. Josetti, że przed opuszczeniem Polski musi być w Żelazowej Woli. Pojechaliśmy tam. Nowa fala szczęścia ogarnęła go. Wchłaniał pożądliwie zapach wsi, z której powiało na niego tchnieniem dźwięków genjalnych pieśni. W domku skromnym wypatrywał wizji przyjścia na świat Fryderyka. Poprosił o kilka kwiatów z ogrodu, pragnąc je przesłać (Zeppelinem) swej żonie do Rio de Janeiro; chciał żeby się tam znalazły najrychlej, aby jeszcze pachniały w jego domu, a po powrocie do siebie przypominały pielgrzymkę do dalekiej ziemi Fryderyka Chopina.

(l. b.)

WŁ. BURKATH

PODRÓŻ PO LITWIE

III





Rybak z Połągi

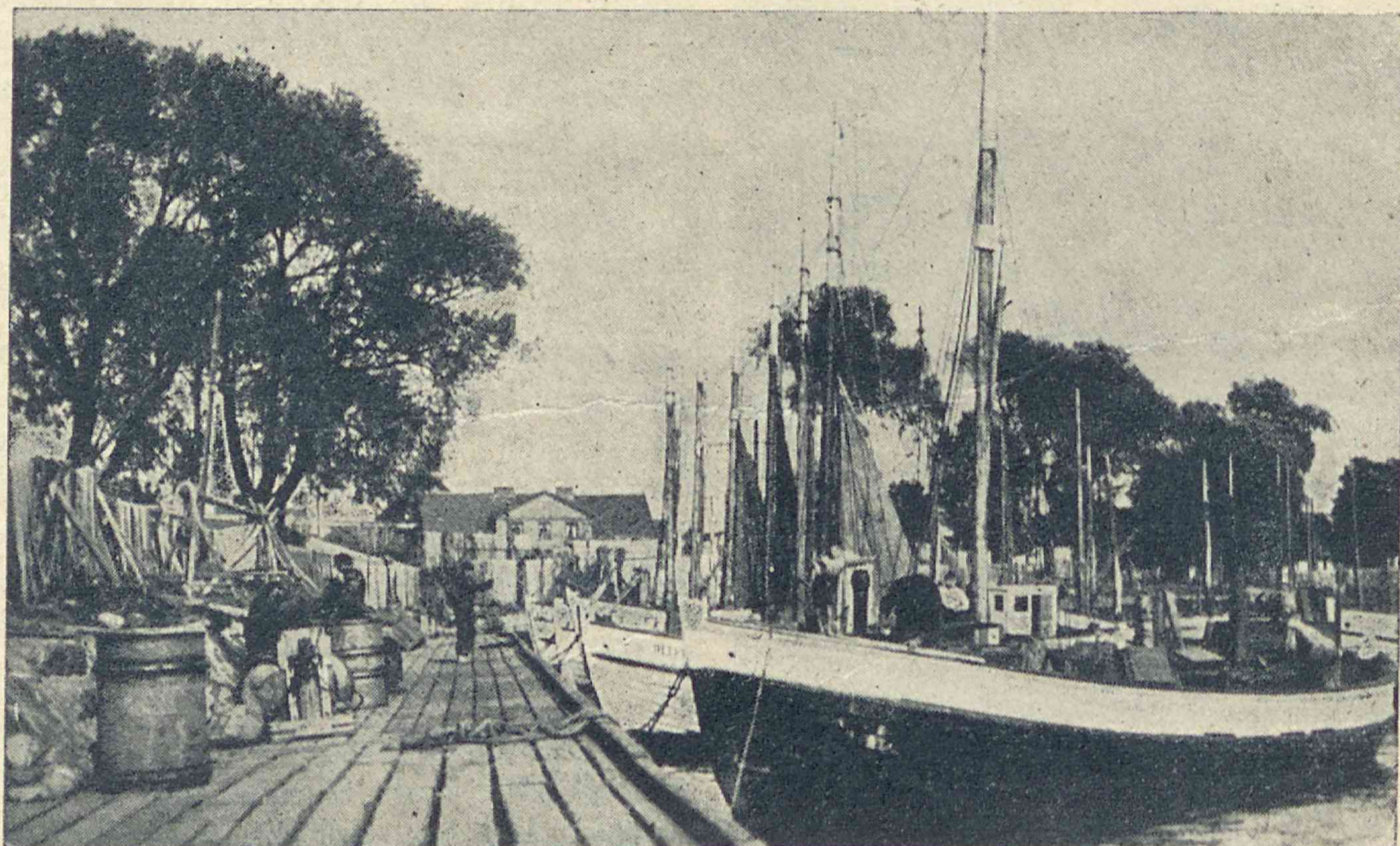


Obok zeuropeizowanego Kaunas mają Litwini swoje miniaturowe wybrzeże morskie, swoją „Gdynię“ i „Hel“. Nie mogłem się oprzeć, aby nie zajrzeć nad Bałtyk litewski i nie przekonać się, czy „oddech“ morski jest tu równie głęboki, jak gdzieindziej. Tu już nie wystarcza trakcja autokarowa, korzystam więc ponownie z archaicznej kolei. Przed oczyma snują się wspomnienia z przed wojny, kiedy to tłumnie jechaliśmy tam z Warszawy torem kolei libawo-romeńskiej. Dziś droga przez Wilno — ta najkrótsza — jest zamknięta, dosiadam się więc dopiero w Koszedarach, aby po wielu postojach i przesiadaniach wysiąść w Kretyndze. Ongiś miasteczko klasztorne, słynące z najpiękniejszych na Żmudzi organów i rezydencji Aleksandrostwa hr. Tyszkiewiczów, dziś stacja niemal węzłowa, łącząca Litwę z Łotwą i Prusami Wschodniemi. O dwanaście kilometrów na zachód leży Riviera litewska, dobrze nam w Warszawie znana — Połąga. Corocznie zjeżdżało tam kilka tysięcy gości kąpielowych z Polski, budowano wille i pensjonaty, za polski grosz ofiarny stanął wielki gotycki kościół. Dzisiejsza Połąga, którą zobaczyłem po godzinnej jeździe autokarem, niewiele się różni od tamtej, przedwojennej. Gospodarze jej ówcześni, hr. Tyszkiewiczowie pozostali, aczkolwiek rozległe ich dobra pod Połągą uległy konfiskacie.

Sezon letni w pełni: na rozległej piaszczystej plaży roi się od opalonych ciał. Stary pomost spacerowy, na którym niegdyś my, młodzi gimnazjaliści, przeżywaliśmy najmilsze nastroje o zachodzie słońca, zmurszały od starości stoi jednak i służy... marzeniom młodzieży litewskiej. Nieopodal, w t. zw. Białym pałacu — siedziba Głowy Państwa litewskiego, prezydenta Smetony.

Tu spędza on corocznie miesiące letnie, przyjmuje wizyty ministrów i dyplomacji, równie chętnie odwiedzającej Połągę. Na szczycie białej wieży trzepocą się barwy litewskie, co krok spotykam barwne mundury wojskowe; słyszę obok litewszczyzny dużo języka rosyjskiego; podobno jest kilkadziesiąt rodzin z pobliskiej Łotwy i Estonji. Gdyby nie to—litewski Hel nie różniłby się od naszego Orłowa — wszakże na rozpalonym piasku wszyscy i wszędzie są do siebie podobni. — Dawne wille polskie, przeważnie należące do rodziny Tyszkiewiczów, stoją nietknięte, oczekując na właścicieli; ulice oświetlono elektrycznością i skanalizowano wille, co było niedościgłem marzeniem przedwojennem.

Z Połągi droga już niedaleka do litewskiej miniaturowej Gdyni — Kłajpedy. Przez dwa o zabawnie brzmiących nazwach osiedla Nimmersatt i — Immersatt przechodzi dawna niemiecka szosa. Po paru godzinach drogi bieleją już przedemną przedmieścia memelskie. Pomimo bowiem zmiany nazwy wszystko, co tu widzimy, od pierwszej chwili nosi *niemiecki* charakter. Jak przed wojną, te same pruskie szlabany kolejowe, „pruskie mury“ domów i dwie wyniosłe czerwone kirchy. Tyle słyszałem o litwinizacji Kłajpedy, o importowaniu tam z Kowna setek nauczycieli i urzędników, że przyznam szczerze... spotkał mnie nieoczeki-

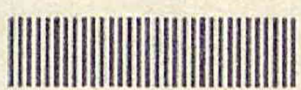


Port w Kłajpedzie

wany zawód. Kłajpeda, czy dawny — Memel — pozostała niezmiennie *niemiecką*, wyjąwszy chyba tabliczki z napisami i nazwy ulic. Spotykam kilka osób, znanych jeszcze z przed wojny: świetna okazja do wywiadu, tembardziej, że mamy do siebie nawzajem zaufanie. Rozmowa toczy się po niemiecku w jednej z zacisznych kawiarni portowych. — Litwini mają w Kłajpedzie może najtwardszy orzech do zgryzienia, — mówi do mnie jeden z największych przemysłowców tutejszych, błagając mnie zgóry o niewymienianie nazwiska. Czynię to najchętniej i.... słucham żywej kroniki miejscowej. Litwinizacja przez szkołę i urzędy chybia celu, powoduje ona częste nieporozumienia; 85% Niemców kłajpedzkich czuje za sobą silny Hinterland niemiecki i pomimo represji *(dzięki nim* właśnie) nie asymiluje się zupełnie. Zapytuję o rozbudowę Kłajpedy, obiecując sobie, że zobaczę tu przynajmniej cień naszej Gdyni. Mój rozmówca przecina wręcz moje słowa odpowiedzią, że nic się tu nie zmieniło... od lat dwudziestu. Z jednej więc strony usiłowania odniemczenia, z drugiej absolutny brak inicjatywy. Jedynie spław drzewa Niemnem do morza, znany tutaj od setek lat, stanowi bodaj że jedyne źródło obrotów handlowych. O pogłębieniu portu i gościnie większych jednostek morskich oczywiście, niema mowy, roi się zato od żaglówek, kutrów rybackich i w najlepszym razie — statków spacerowych do pobliskiego Kranzu, czy Papensee... Tak, — po gigantycznej wprost rozbudowie Kowna, po pełnych malowniczości drogach litewskich, Kłajpeda, tak rozgłośnie okrzyczana w całej prasie litewskiej, sprawiła mi zawód. Co więcej, wynosi się z niej wrażenie, że morze nie jest na Litwie doceniane tak, jakby się tego należało spodziewać. „Idylla" niemieckiej w istocie Kłajpedy mówi sama za siebie. Wieczorem, już w drodze powrotnej do Kaunas, starałem się sobie wytłomaczyć te dziwne przeciwieństwa, jakie charakteryzują Litwę obecną: upór, jeśli idzie o sprawy polityczne, rozmach i sporo kultury w urbanistyce, no i — morze kłajpedzkie, słono propagandę litewską kosztujące.

Minęły szybko dni, które dane mi było spędzić na Litwie. Trzeba się było pilnować, aby cenna przepustka nie uległa przedawnieniu, aby ją w porę odebrał zielony, wygalonowany żandarm litewski na granicy. W dwadzieścia kilka godzin później, syt chleba litewskiego i wrażeń, witałem wzrokiem naszą Gdynię — żywy pomnik chwały polskiego wybrzeża.

Wł. Burkath.



Pejzaż litewski





KONDUKTOR TRAMWAJOWY LAUREATEM NOBLA

Przed siedemdziesięciu pięciu laty, w sierpniu, na biednego rolnika z osady Lom, w dalekiej Norwegji, spłynęło „błogosławieństwo Boże" w postaci jeszcze jednego dziecka. Powiększenie rodziny nie wywołało zbyt wielkiego entuzjazmu — za dużo było gąb do żywienia, a za mało ziemi.

Kiedy najmłodsza latorośl dostatecznie wykształciła się w kunszcie rąbania drzewa i w pasaniu czworonogiego inwentarza, nędza zajrzała do chaty. Trzynastoletniego chłopca odesłano do brata matki, pastora. „Ojcowska" opieka pasterza dusz często skąpiła wychowankowi chleba, darzyła go za to obficie wymysłami i batami. Po roku pupil zrezygnował z gościny u wuja i wrócił do rodzinnego Lom, chwytając się wszelkich zawodów, aby tylko zapewnić sobie najmarniejszą egzystencję. Był więc, naprzemian, pomocnikiem właściciela niewielkiego kramiku, komiwojażerem, wreszcie wstąpił na praktykę do szewca. Dratwa i brutalne traktowanie, nędza i wiecznie pustawy żołądek—prędko obrzydziły mu ten zawód, więc wywędrował na wyspy Lofockie, gdzie w wiosce Vesteraalen był przez rok nauczycielem ludowym i pisarzem gminnym. Mniej więcej w tym czasie, w r. 1877 ukazał się tom nowel, podpisanych: Knut Pedersen Hamsun. Nikt nie zwrócił na nie uwagi.

Niezrażony obojętnością, z jaką przyjęto jego książkę, Hamsun pisze dalej, lecz wszyscy bez wyjątku wydawcy odrzucają rękopisy. Po szeregu niefortunnych prób, rzuca wreszcie pióro i zostaje robotnikiem, zatrudnionym przy budowie dróg. Przez dwa lata brukuje, wozi kamienie, tłucze je.

Tymczasem w całej Norwegji opowiadają cuda o Ameryce, kraju, w którym bryły złota leżą na ziemi i dość schylić się, by zostać miljonerem. Hamsun wyjeżdża na drugą półkulę, by przeżyć epopeję nędzy. Kopalni złota nie odkrył, więc pracuje, jak może. Jest handlowcem, robotnikiem na farmie, drwalem. Wreszcie dorabia się suchot, a rodacy składają się, by odesłać go do Norwegji. Wbrew opinji lekarzy, Hamsun nie umiera, lecz przezwycięża chorobę i znowu napróżno szuka pracy w ojczyźnie. Od czasu do czasu wydrukuje jakiś drobiazg, głoduje, w końcu postanawia raz jeszcze szukać szczęścia za oceanem.

W coraz innej roli ukazuje się Knut Hamsun: konduktor tramwaju konnego w Chicago, robotnik rolny na prerji, pomywacz. Za ciężko zapracowane dolary wraca do Kopenhagi i zaczyna pisać „Głód".

I oto odwraca się zła karta. Hamsun zanosi pierwsze rozdziały redaktorowi „Politiken", Edwardowi Brandesowi i odtąd zaczyna się sława. „Głód" staje się sensacją — tłomaczą go na wszystkie niemal języki, wydawcy zabiegają o rękopisy. Z kolei ukazują się „Misterja", „Redaktor Lynge", „Pan", „Victoria", „Błogosławieństwo ziemi", arcydzieło epopei chłopskiej, dramaty, nowele...

Wreszcie w r. 1920 przychodzi nagroda Nobla, pieniądze, sława, zaszczyty. Ubogi włóczęga z Lom wchodzi do Panteonu nieśmiertelnych.

J. S. W.

MARJA DĄBROWSKA

NOCE I DNIE

Marja Dąbrowska ukończyła swą powieść: „Noce i Dnie". Zanim umieścimy w jednym z najbliższych numerów sprawozdanie krytyczne z tej części zatytułowanej „Wiatr w oczy", podajemy niniejszy urywek „z przeżyć pani Barbary". Plastyczność stylu i wnikliwość autorki uzewnętrzniają się w nim w całej pełni.

Pani Barbara przemogła się i weszła jednak za próg. Niebawem rozpoznała pośrodku hali koliste wzniesienie, którego środek pałał i ciekł złotemi strumieniami. Po brzegach wzniesienia do pasa nadzy, o ciałach dziwnie świecących, robotnicy miotali się śród latających po powietrzu ognistych kul. Wyglądało to na złowrogą zabawę w piekielne piłki. Panią Barbarę zaczęło ściskać w gardle. Z oczu jej pociekły nie dające się wstrzymać łzy. To, co widziała w tej staroświeckiej, prymitywnej hucie, wydało jej się obrazem niemal dantejskim. Nigdy nie przypuszczała, żeby tak mógł wyglądać wyrób cichego, zimnego i przejrzystego szkła. Nie mogła skojarzyć żadnego ze skromnych przedmiotów codziennego użytku z temi igrzyskami śród ognia, które mogły dawać początek chyba tylko tworom z niesamowitej baśni.

A gdy, postawszy jeszcze, ujrzała, że latające kule z ognia taczały się po powietrzu, wisząc niby olbrzymie krople u końca żelaznych drągów, w które północy hutnicy dęli niby w puzony... Gdy zobaczyła, jak następnie rozżarzone szkło zgniatało się w żelaznej formie na zwykły talerzyk pod szklankę, wydało jej się to czemś tembardziej nie do wiary, czemś jak dręczący sen, w którym niema żadnego rozumnego związku między przyczyną i skutkiem. Ludzie, co się tutaj ruszali we wrzawie ognia, żelaza i szkła, mienili jej się w oczach, stawali się naprzemian to potępionymi za życia nieszczęśnikami, to potężnemi istotami, niemal półbogami o nadludzkiej sile i wytrzymałości. Wszystko, co ją gnębiło kiedykolwiek, znajdowało tu swoje wytłumaczenie i usprawiedliwienie, okazywało się niby odblaskiem tego, co się tutaj przed nią działo. Sam fakt istnienia takich piekieł na ziemi — czyż nie był wystarczający, aby uniemożliwić reszcie świata życie bez trwogi i w spokoju?

Zapomniała o synu, a gdy z wysiłkiem uprzytomniła sobie, że on miał tutaj być, uczuła podziw i groźną tkliwość. Przebywał więc wśród takiej próby ognia, w samem niemiłosiernem wnętrzu życia!... Zdawał jej się stracony, ale w jakiś sposób chwalebny i podniosły. Zaczęła go wypatrywać, i żałowała, że niema tu Bogumiła, by zobaczył syna, wychodzącego z tych żarów.

Ale zamiast syna podbiegła do niej tylko Chrobotówna.

— Chodźmy, niema pana Tomasza — wezwała niecierpliwie.

— Niema tego pana Tomasza — powtórzyła, kiedy wydostały się z błyskającego zgiełku. — Zaraz. Niech wielmożna pani idzie tam pod te drzewa, ja jeszcze polecę zobaczyć do szlifierni.

Pani Barbara zwróciła się we wskazanym kierunku i dopiero teraz spostrzegła, że na dziedzińcu są drzewa. Były to rosnące nieco z boku dwie potężnej wielkości jarzębiny. Snać wszystko w tem otoczeniu przybierało niezwykły wygląd, bo pani Barbara nigdy jeszcze nie widziała, żeby jarzębiny dochodziły gdzie do takich rozmiarów. Liście miały przytem ciemne, żywe, soczyste, niby w lesie, a bogate grona jagód nabrzmiałe i czarująco rumiane. Zdawało się, że te rosnące na nieużytku, śród kurzu, dymu i śmiecia wspaniałe drzewa wchłonęły w siebie świeżość przeznaczoną dla całej okolicy. Pani Barbara patrzyła na nie w zachwycie i z lękiem, że wnet znikną, jakgdyby były mirażem na pustyni.

— Jest! — spłoszyła ją Chrobotówna, wyskoczywszy niby z pod ziemi.—Za bramą na lewo stoi taki dom — objaśniała — tam jeden żyd ma piwiarnię i sklep. Takie zielone okna. Tam on siedzi. Pan Tomasz. Niech wielmożna pani prędko idzie i zabierze go stąd. Niech on tu nie ostaje ni godziny, bo będzie źle — zagroziła. — Ja muszę już lecieć! My na akord robimy. Zarobku to ja dzisia stracę, jej...

— Ja ci wrócę — sięgnęła pani Barbara do portmonetki.

Poszła następnie piechotą, skinąwszy na Adamka, żeby za nią jechał. Odźwierny z twarzą wuja Daniela mrużył oko i znów pchał ze stękaniem ciężką bramę po piachu, a pani Barbara miała wrażenie, że otacza ją tłum odźwiernych, mrużących drwiąco oko, i szła jak pod pręgierzem.

Dom z zielonemi okiennicami rzucił jej się w oczy, nim go zaczęła szukać. Na progu bawiły się dzieci żydowskie, brudne i usmarkane.

— Czekajcie, dzieci — usunęła je. — Chcę przejść.

Dzieci wstały i rozstąpiły się na dwie strony. Potwierawszy usta i z palcami wspartemi na dolnych zębach, wlepiły czarne oczy w panią Barbarę, która stała chwilę w kwaśno cuchnącej sionce, a potem otwarła drzwi, za któremi słyszała męskie głosy. Ujrzała ciasną i zadymioną izbę. W głębi był szynkwas. Pod oknem przy stole siedziało czterech mężczyzn. Byli wszyscy w czapkach, poprzekrzywianych na różne strony. Gryźli papierosy i grali w karty. Jeden z nich wołał: — Dawać tu dziwkę pod waleta! Niech ma! — Tym jednym był Tomaszek.

Pani Barbara zatrzasnęła drzwi, jakby zobaczyła i usłyszała widmo. Wybiegła na dwór i oparła się o ścianę. W oczach jej pociemniało, a kiedy przejrzała, zobaczyła, że dzieci znów się przestały bawić, stanęły rzędem naprzeciwko i patrzyły na nią w milczeniu. Dała im niecierpliwie znak ręką, żeby odeszły, lecz one stały tembardziej, jakby nie mogły oderwać od niej oczu.

— Gdzie ja jestem? — pomyślała znużona — Może to mi się tylko śni?

Nie wiedziała, czy Tomaszek ją poznał, czy do niej wyjdzie. Co robić, o ile nie wyjdzie? Trzeba będzie odjechać z niczem. Nie. Trzeba tu stać i czekać. Bo drugi raz nie zajrzy tam już za nic.

Nim zdołała się uporać z zamętem, co nią owładnął, Tomaszek wyszedł i stanął przed nią z osłupiałym wyrazem twarzy. Ujrzała jego śniadą cerę, złoto - szare niepewne oczy, niesforny wicher włosów z nad lewej skroni, wymykający się z pod czapki - cyklistówki. Wydał jej się piękny, ale obcy i nieprzyjemny, prawie jak ów Józio z huty. Patrzyła na niego tępo i wrogo.

— Syn takiego ojca... Takiego ojca... Po karczmach z karciarzami — wyszeptała nakoniec.

Tomaszek zdawał się być nadewszystko zdumiony.

— Mamusia... — bełkotał — Mamusia tu...

— A tak... „mamusia" — przedrzeźniła, nie władnąc sobą.—Cóż

tak stoisz i oczy wytrzeszczasz? Do domu zaraz!—burknęła, jak na psa.

Zaczęli iść naoślep, niby we mgle i doszli do miejsca, gdzie mur huty skręcał pod prostym kątem. Naokoło nie było żywego ducha. Pani Barbara stanęła i załamała ręce.

— Chłopcze! Co ty wyprawiasz! Skąd się tu wziąłeś? Dlaczego Jerzmanowscy nic nie donieśli, że od nich odjechałeś?

— Masz tobie! A bo ja wiem, dlaczego nie donieśli? — bąknął Tomaszek — Ja przecież... tego... pisałem. Kto wam dał znać, że ja tu jestem? — stawił się raptem hardo. Chwilę mierzyli się nienawistnem spojrzeniem, tającem tę samą myśl.

— Wydała mnie — jęknął Tomaszek, jakby waląc się cały w gruzy — Jucha! — syknął.

— Co mamusia odemnie chce?— wściekł się znienacka. — Zostawcie mnie! Ja nic nie zrobiłem!

— Nic wogóle nigdy nie robisz! Wszystko zło przez to właśnie — wybuchnęła pani Barbara — Szukałam cię przy piecach, przy robocie... Ale tam cię oczywiście nie było. Nigdy nie jesteś tam, gdzie trzeba za coś odpowiadać... Zawsze wałęsasz się tylko. Wszędzie chcesz tylko użyć...

Umilkła. Coś w niej krzyknęło: — Nie po ojcu odziedziczył takie usposobienie!

Czując się dalej niby we władzy koszmaru, pomyślała, czy też zwiedziała się o tem na jakiś inny sposób, że jeśli Tomaszek kogokolwiek w swem życiu zamorduje, to zbrodnia ją przed Sądem Straszliwym obarczy.

Tomaszek obejrzał się z irytacją mężczyzny łajanego przez babę.

— Po co te awantury — burknął — Jakto ja nic nie robię? Ja tu jestem u kolegi na praktyce...

— U kolegi! Widziałam tę praktykę...

— No, to niech mamusia idzie do kantoru i zapyta — rozsrożył się. — Syn Pawłowskiego, tego właściciela huty, tego grubego, to mój kolega. I przez niego miałem dostać od jutra miejsce w kantorze. Jerzmanowskim — przypomniał sobie — powiedziałem, że jadę do domu. Bo jechałem do domu... Ale w pociągu spotkałem tego kolegę i ten... ...Ja tu zostanę — oświadczył nagle, patrząc jakby poprzez matkę swemi złoto-szaremi oczami.

— Pawłowski? — myślała pani Barbara zaskoczona. — Ta „kula bilardowa"? Niedarmo poczułam wtedy do niego taką antypatję.

— Nie zostaniesz. I nie opowiadaj takich rzeczy, bo ja nie mogę tego słuchać. Ty i miejsce w kantorze! Od jutra? U ciebie zawsze wszystko od jutra. I cóż to? Nie chcesz wracać do szkoły? Przecież wakacje się kończą.

Głos jej zmiękł, wiadomość o koledze i praktyce rzuciła bądź co bądź inne światło na wybryk syna. Po chwili podjęła jednak srogo:

— Jak chcesz zostać i pracować, to idź tam, z robotnikami, przy piecach...

I aż zatchnęło ją od poczucia, że tylko w tem byłoby jakieś odkupienie, jakaś kara i zarazem nagroda. Tomaszek wzruszył ramionami.

— Nie rozumiem. Mamusia woli, żebym był robotnikiem, kiedy mogłem dostać porządne stanowisko?

— Marzyłam dla ciebie o niewiem jakim stanowisku. Ale teraz już mi wszystko jedno, czem będziesz . Chcę, żebyś był człowiekiem. Wracaj — złożyła ręce. — Musisz przecież zobaczyć się z ojcem. Zresztą — oznajmiła szorstko — Serbinów sprzedany. Jak nie pojedziesz teraz, to nigdy więcej...

Tomaszek cofnął się w tył, jak przed ciosem.

— Co?! Serbinów sprzedany? Mamusia żartuje!

— Nie wierzysz? Jedź. Przekonasz się.

— A gdzie konie?— obejrzał się stropiony.

Pani Barbara podprowadziła go do bryczuszki. Adamek, zoczywszy Tomaszka, ukłonił się z umiarkowanem zdziwieniem.

— To mamusia tak przyjechała? — osłupiał Tomaszek.

— A cóż? Miałam karetą obwozić taki wstyd?

Oczy Tomaszka zwęziły się i błysnęły niemile. Ociągał się i najwidoczniej pasował z sobą.

— Niech mamusia poczeka —zamruczał chmurnie. — Ja muszę jeszcze wstąpić po swoje rzeczy.

Ale pani Barbara bała się go puścić od siebie.

— Pójdziemy razem — postanowiła.

— Poco? To kawałek drogi. Przez taki piach... Mamusia się zmęczy.

— To pojedziemy. Siadaj. Nno!

Tomaszek odęty i niechętny dał się podwieźć. Zatrzymał konia w połowie uliczki przed jednym z nędzniejszych żydowskich domów.

— Tu mieszka ten kolega? Syn właściciela huty? — przeraziła się pani Barbara.

Tomaszek nie odpowiedział. Zlazł z bryczki i zniknął w sionce domostwa. Pani Barbara czekała chwilę i nagle poczuła się bliska omdlenia. Wyskoczyła, stanęła w progu i patrzyła przez uchylone drzwi na schodki strome niby drabina. — Gdzie on jest — pytała już nie myślami lecz oszalałem biciem serca. — Na dole, czy na górze? Może go tu już wcale niema?

Jakieś drzwi trzasnęły niby w jej własnem wnętrzu i Tomaszek ukazał się z walizką u szczytu schodów. Zaczął ostrożnie zstępować. Pani Barbara spostrzegła, że on nie idzie, tylko skrada się. Pchnęła drzwi i wpadła do sionki w chwili, kiedy skręcał od schodów nie na ulicę, ale w przeciwną stronę, ku podwórku.

Wybiegła za nim na puste miejsce, obudowane czemś w rodzaju drwalników, czy wychodków. Chwyciła go za rękę. — Dokąd!? Dokąd!? — Jęknęła. Wyszarpnął się i skoczył między drewniane rudery. Pani Barbara jak nieprzytomna — za nim. Uderzyła się o coś i upadła. Wtedy, krzyknąwszy z przerażenia, wrócił i pomógł jej się podnieść.

Stali na jałowym nieużytku. Pani Barbara trzęsła się cała, jak w febrze. Tomaszek całował ją po rękach i rozpaczał:

— Matko, po co mamusia za mną idzie? Poco mamusia przyjechała? Ja nie pojadę. Ja i tak nie pojadę—powtórzył z dziką pasją.

Pani Barbara przycichła. Wpatrzyli się w siebie nieruchomo, oczy w oczy.

— Nie pojedziesz?

Pokręcił w milczeniu głową straszliwie zasępiony. Wyraz jego twarzy mówił dokładnie, o co chodzi.

— Ten brat — wysyczała pani Barbara ściśniętem gardłem — zabije i ciebie i dziewczynę. Ja go widziałam. I ja wiem! Za-bi-je!

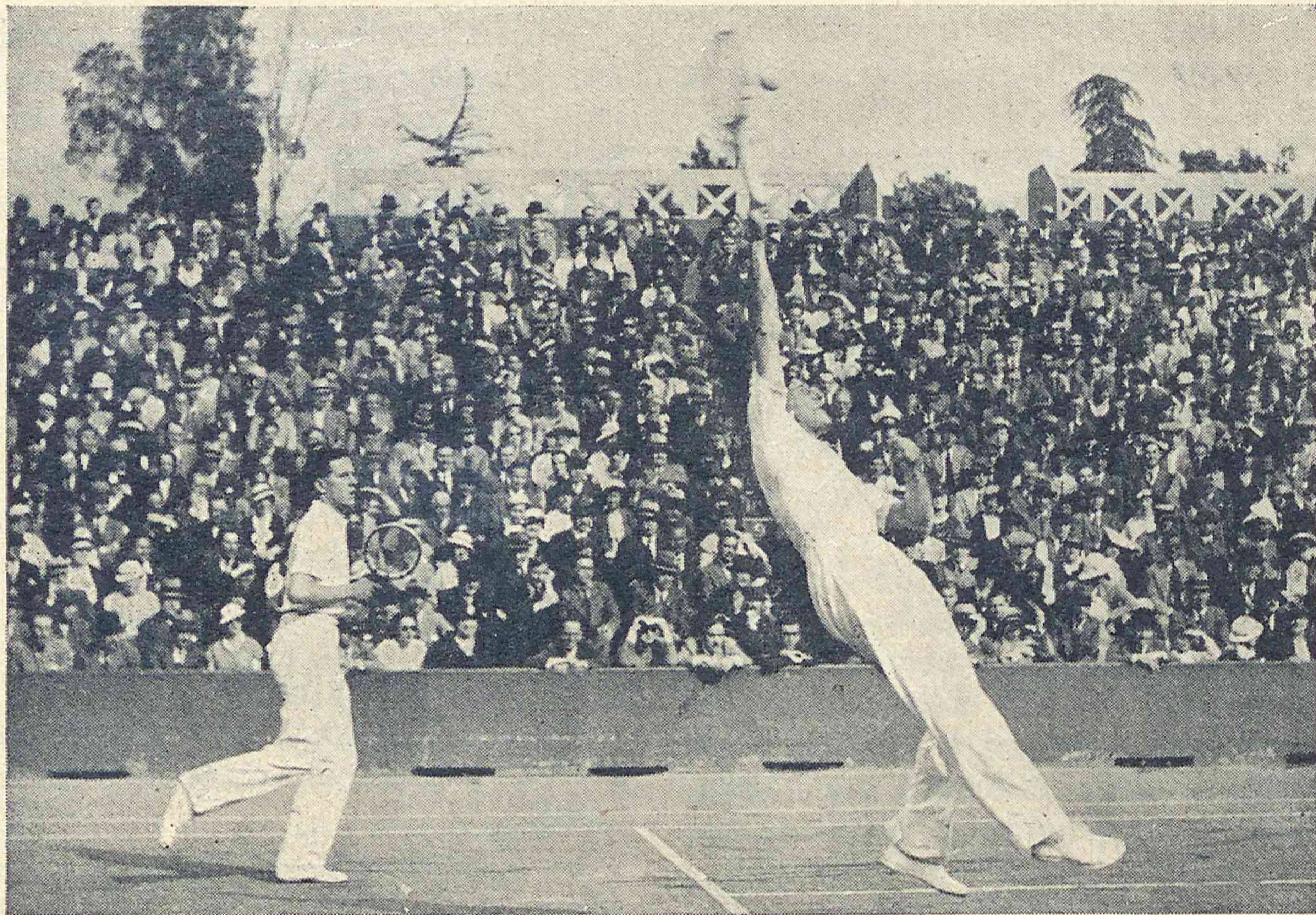
W tejże chwili niepojęte chrapanie wszczęło się znienacka w powietrzu i zaczęło się uciążliwie przeobrażać w gardłowy ryk i świst. Huta gwizdała na południe. Tomaszek pobladł tak, że nawet usta mu zbielały.

— Nie męczcie mnie — zaszlochał bez łez. — Ja i tak jestem dosyć nieszczęśliwy.

Objęli się. Pani Barbara czuła go znów przy sobie miękkiego i potulnego, jak ugłaskane zwierzę. Serce jej ożyło. Kto czuje się nieszczęśliwym, ten nie może być całkiem zły.

— Wracajmy, ukochany — błagała, usiłując przekrzyczyć trwający bez końca, wszystko przewiercający gwizd. — To opętanie... To minie... Wracajmy prędko do domu.

BOROTRA W WARSZAWIE



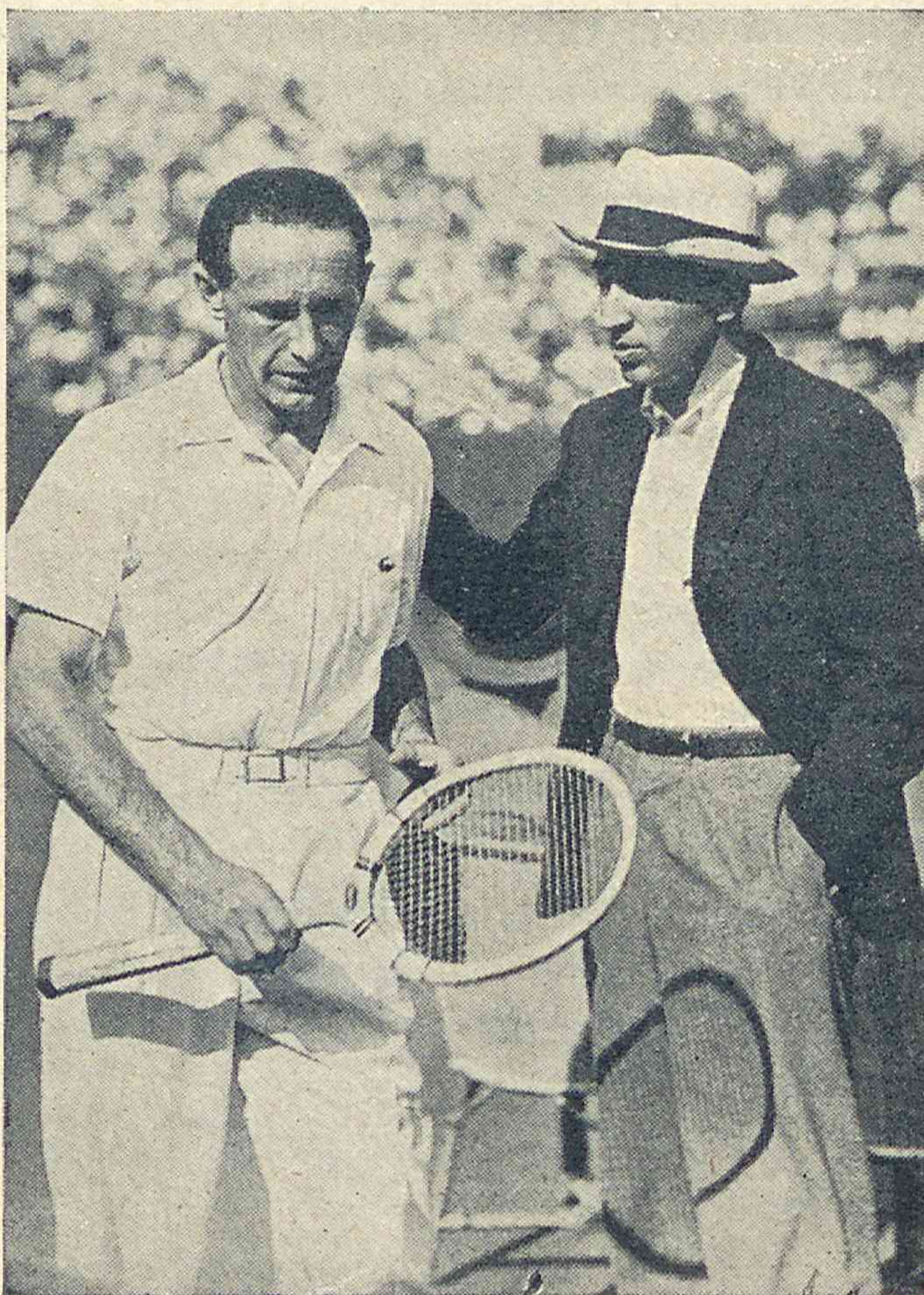
Borotra w jednym ze swych charakterystycznych skoków.

Bez obawy banalności można powiedzieć, iż „tenis polski przeżywa dziś dzień świąteczny". Przyjazd Borotry do Warszawy jest wydarzeniem sportowem wielkiego znaczenia. Zalety i „cuda" rakiety „Latającego Baska" znają z czytania i słyszenia wszyscy, którzy interesują się białym sportem. Borotra jest ulubieńcem widowni wszędzie, gdzie gra, nietylko dlatego, że potrafi być świetny, piorunujący, że jego uderzenia są rozmaite, że jego zagrania często efektownością przechodzą wszystko, co się na korcie widzi — ale główne, bezpośrednie powodzenie Borotry płynie stąd, iż publiczność widzi, że mistrz francuski daje ze siebie wszystko. Biegi, skoki, ciosy Borotry pieczętują się *impetem*, bezpośredniością akcji i taką samą ambicją, gdy gra z Tildenem, jak i ze skromnym graczykiem Racingu.

W tej bezpośredniości gry Borotry niema również „gierek": piłek podstępnych „byle wygrać"; oczywiście Borotra plasuje piłki i plasuje świetnie, ale są to zagrania żywiołowe, bojowe. Nie należy on do tych graczy, co „cykają" piłki, byle przeciwnik „nie zdążył" i aby doliczyć sobie nowy punkt. Dżentelmenerja Borotry wobec przeciwnika jest znana i przysłowiowa, nie pozwoli on sobie zaliczyć na swoją korzyść piłki krzywdzącej przeciwnika, nie poluje na przypadek, życzliwość lub niedołęstwo sędziego.



Tłoczyński w pełnej akcji



Lacoste pociesza Borotrę po przegranej francuskiego duble'a.

Wszystkie te cechy—to cechy prawdziwego sportowca; one stały się podstawą popularności „Latającego Baska". Jako partner Borotra jest idealny. Widziałem go w duble'u na krytych kortach, gdy grał po raz pierwszy z bardzo słabym szwajcarem. Miał przeciw sobie zgrany duble narodowy szwajcarski — na korcie wogóle był tylko Borotra, grał za dwuch, bo musiał — ale nigdy nie ukazał nawet cienia grymasu, przeciwnie podtrzymywał nerwowo speszonego partnera, nie ganił, chwalił za mniej złe piłki, a co najważniejsza w subtelności mistrza wobec patałacha *nigdy nie zabierał mu jego piłek*, choć to groziło klęską. Wyrabiał serwisem, siatką, własną grą.

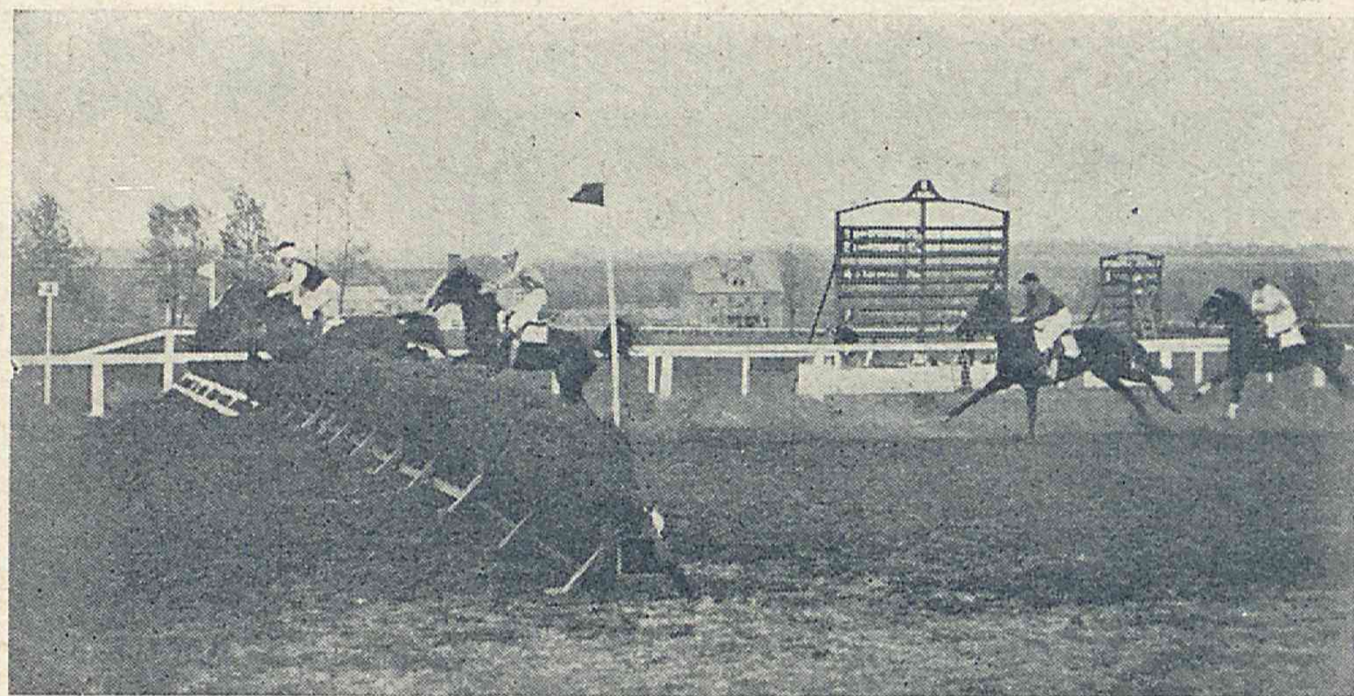
W okresie jego załamania formy, kiedy Cochet zadecydowanie ratował Francję w Davis - Cupie, widziałem go w Paryżu w singlach; walczył zacięcie, wygrywał, ale widoczne było, że pasował się z sobą, aby wytrwać. To „aby wytrwać", jest dziś hasłem Borotry, który jedyny został Francji na placu zwycięstw!

Borotra wytrwał — oficjalnie ma 36 lat — teraz gra, gra znowu jako jeden z najlepszych. Niema gracza, który od Borotry nie mógł by się wiele nauczyć zarówno przy siatce, jak i w sposobie bycia.

Boje tenisowe Borotry zawsze są atrakcją, niewątpliwie podobnie będzie i w Warszawie. Publiczność docenia wszędzie i zawsze w graczu francuskim jego zapał walki i jego rycerską sportowość. Borotra potrafi wygrywać, ale umie też i przegrać, a to jest nieraz trudniejsze psychicznie. Na swym „rozkładzie" miał Borotra niemal wszystkie najlepsze rakiety świata. Najtrudniej mu zawsze szło z Tildenem. Specjalista od krytych kortów, pokazał nam i na stadjonie Legji — grę najczystszej wody.

Old-boy

WYŚCIGI W POZNANIU ROZPOCZĘTE



Są tacy, którzy jadą lekkim, ułańskim powozikiem; są tacy, którzy pędzą śliczną, kształtną i połyskującą czarnym lakierem limuzyną; jest cały tłum, który tłoczy się siedząc, stojąc, wisząc, dysząc i pocąc się w autobusach i pociągu i znajdzie się też i gromada tych, co pięciozłotówkę mocno dzierżąc w garści na totalizatora, kroczą zamyśleni per pedes apostolorum. Wśród tych ostatnich niema zazwyczaj dziennikarzy, gdyż punktem honoru sprawozdawcy jest przecież tempo, tempo i wścibienie nosa za wczasu, na pierwszego, w każdy, najbardziej niedostępny kąt toru, stajni, trybun i paddocku. A jednak, najlepiej i najładniej przedstawia się spacer pieszy. Łączy on bowiem w sobie całą gamę różnorodnych przeżyć i pozwala, bez reszty, użyć pogodnej, wybłękitnionej i rozsłonecznionej niedzieli.

Jeżeli więc zdecydujemy się na pieszy spacer przez Sołacz, Golęcin i Strzeszynek ku Ławicy, znajdziemy więcej przyjemności niż na tłumnej szosie. Nad zielonemi wzgórzami Ławicy wisi kopuła niebieska, jak wielki błękitny parasol, suną górą puszyste obłoki i przygrzewa słońce, o którego złotym blasku zapomina się w mieście. Ale potem, znagła, gdzieś w dolinie rozlega się tętent koni. Potem dochodzi szmer stłumiony oklasków i dalekie echo okrzyków. Przyspiesza się kroku i teraz z pomiędzy łąk i gajów wybłyskują białe krechy rampy wyścigowej, maluje się barwnym obrazem amfiteatrzyk trybun i obozowisko ludzi, powozów, automobili. Budzi się końska pasja i człowiek, dopadłszy miejsc na zielonej murawie, wie już tylko jedno: że są w tej chwili na świecie jedynie pęciny końskie, smukłe kształty szybkobiegaczy, cienka, drżąca nerwowo skóra ulubionego wierzchowca; — są faworyci, za których powodzenie oddaje się każde uczucie, każdą myśl i... trochę pieniędzy na stawkę!

Sezon wyścigowy na Ławicy—to przecież wyładowanie namiętności graczy, małych i dużych, to wysoko nastrojony diapazon szlachetnych ambicyj hodowców, to sensacja dnia, w której udział biorą szerokie warstwy społeczne, to intymne przeżycia właścicieli stajen, dla których wyścigi to poważny, brzemienny w skutki, egzamin.

Bo najważniejsza sprawa, to hodowla. Posiadając bowiem konie pełnej krwi, można wyhodować wierzchowca półkrwi, bez których obyć się nie może armja.

Zbliżamy się do jednego z senjorów-hodowców Ignacego hr. Mielżyńskiego i jego małżonki, przypatrujących się, z loży członkowskiej, biegom. Państwo Mielżyńscy chętnie udzielają objaśnień. Wiadomo przecież, że obok Posadowa hr. Korzbok - Łąckiego posiadają w Wielkopolsce jedną z największych i najsłynniejszych stajen. Wśród tysiąca koni znajdujących się w Iwnie i Chobienicach jest przeszło dwadzieścia klaczy pełnej krwi i 20 koni wyścigowych. Rok rocznie Iwno dostarcza 50 — 70 koni na remont. Kunsztowną i skomplikowaną genealogję końską prowadzi sama pani Mielżyńska, uważająca, że milej jest pójść wieczorem z kawałkiem cukru w kieszeni do stajni, milej popatrzeć na hasające źrebce, niż spędzać nudny czas w salonie lub w podróży. Konie iwneńskie zresztą mają także swoją barwną i zaszczytną kartę w historji powstania wielkopolskiego i wojny bolszewickiej. Dzisiejszy pułk 26 ułanów powstał z ad hoc przez hr. Mielżyńskiego stworzonego pułku kawalerji, który wsławił się w bitwie pod Brodnicą i zdobywał Mińsk, okrążany przez bolszewików od wschodu. Szóstka folblutów z Iwna wwiozła do Poznania niejednego dygnitarza, jechał nią prymas Hlond, jechał nuncjusz papieski Marmaggi. Kiedyś jeszcze ,przed wielką wojną, urządzane w Iwnie polowania z chartami stanowiły punkt zborny ziemiaństwa wielkopolskiego. Zawiązywały się przy tej okazji różne marjaże, a niejeden z pędzących za lisem jeźdźców marzył być może o tem, żeby kiedyś, w sposób podobny, gonić wroga w własnem wojsku polskiem.

Dziś współżycie ziemiaństwa wielkopolskiego z armją jest najściślejsze, a przyczynia się do tego w wielkiej mierze wspólny udział w wyścigach i konkursach hippicznych.

Zkolei udajemy się po informacje do przedstawiciela Towarzytwa Wyścigów Konnych, istniejącego od lat piętnastu, pod prezesurą p. Kazimierza Żychlińskiego. W roku bieżącym przypada jubileusz tej organizacji. *Odbędzie się więc w dniu 30 września uroczysty Handicap wielkopolski*, o którym mówi się tu bardzo dużo. Tor na Ławicy przejęło Towarzystwo od niemieckiego „Posener Remverein" w r. 1919 i w prędkim czasie doprowadziło go do dzisiejszego stanu, w zupełności odpowiadającego wymogom nowoczesnym. Początkowo na Ławicy odbywały się również konkursy hippiczne, później dział ten usamodzielnił się przez powstanie Klubu Jazdy Konnej. Jednakże zasięg wpływów Poznańskiego Towarzystwa Wyścigów Konnych nie ograniczył się do Wielkopolski. Z inicjatywy Poznania powstał tor wyścigowy w Tarnowskich Górach na Śląsku, w r. 1927, i tor wyścigowy płaski, w Bydgoszczy. Gdy wskutek kryzysu okazał się nieopłacalny tor wyścigowy w Bydgoszczy, przeniesiono wyścigi z Tarnowskich Gór do Katowic, gdzie niebawem sezony wyścigowe znalazły dużą popularność. Tor w Katowicach znajduje się znów pod kierownictwem Zarządu Wielk. Tow. Wyśc. Konnych.

Obecny jesienny sezon wyścigowy w Poznaniu zapowiada się nadzwyczaj interesująco.

Dotąd akces swój zgłosiły stadniny z Posadowa hr. Korzbok - Łąckiego, z Iwna hr. Mielżyńskiego, z Wieńca bar. Kronenberga, dalej rotm. Bobińskiego, święcącego tryumfy już w pierwszym dniu wyścigów, rotm. Studzińskiego, rotm. Święcickiego, por. Rościszewskiego, por. Rybickiego, Belina - Czechowskiego i innych, których konie zdeklarowano później.

Publiczność stawia się licznie, rekrutując się z najrozmaitszych warstw społecznych.

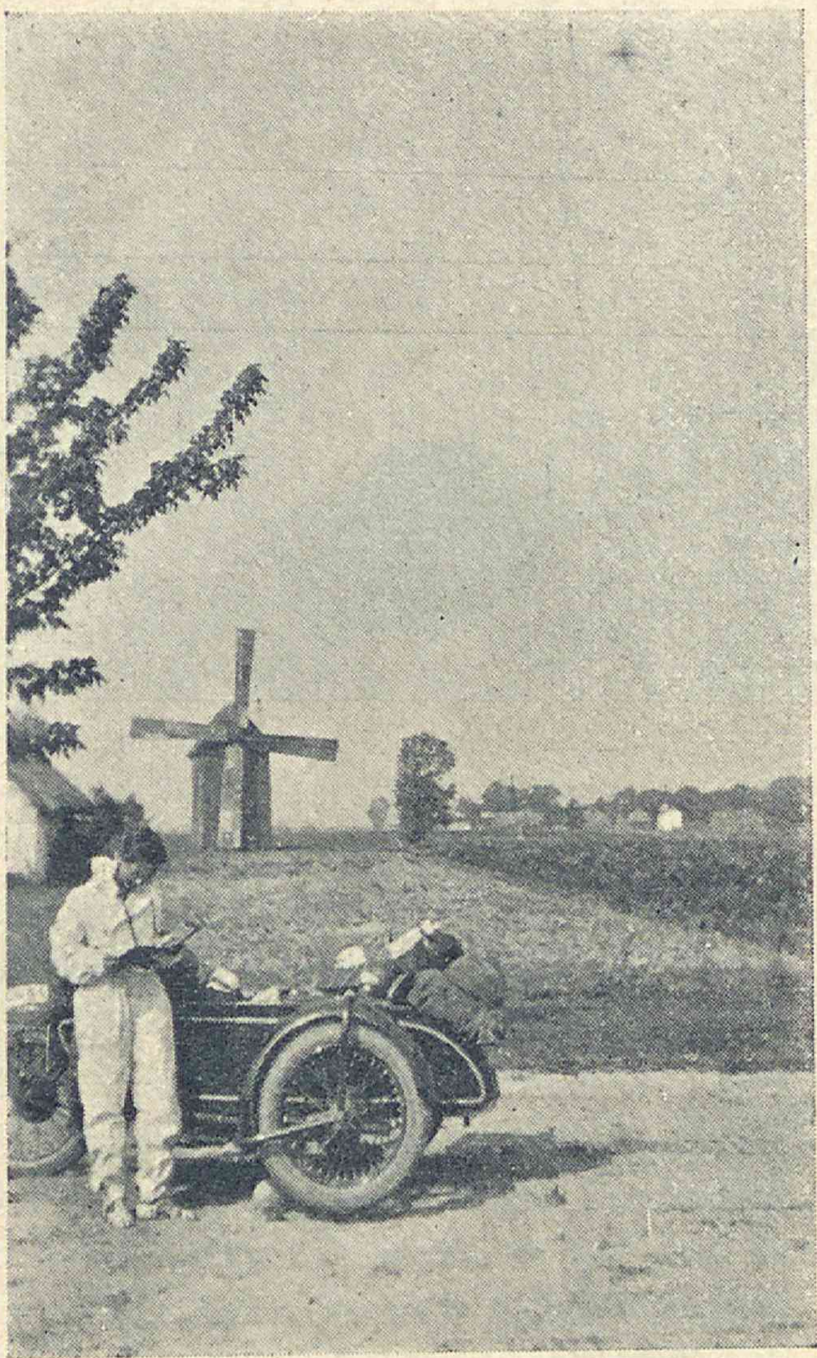
Pogoda jesienna sprzyja wyścigom, sądzić więc należy, że zjedzie jeszcze do Poznania elita tych, którzy naprawdę będą umieli docenić wartość propagandy pięknego i zdrowego konia w Polsce.

Wanda Brzeska.

WARSZAWA-SZANGHAI

Korespondent „Świata" wyruszył na olbrzymi raid. Trasę ograniczają „tylko" dwa następujące punkty: „Warszawa" — Szanghai". Z tej na wielką miarę zakrojonej podróży rozpoczynamy dziś druk wrażeń i notatek.

W KOSZYKU W ŚWIAT SZEROKI



Postój na szosie pod Łowiczem

I

WARSZAWA — BERLIN

23 sierpnia, o godz. 10 rano, startujemy z pod Automobilklubu do raidu Warszawa — Shanghai.

Wyjeżdżamy z Warszawy nie spostrzeżeni. Odprowadza nas nieliczne grono przyjaciół, przedstawiciele firmy motocyklowej B. S. A., reporter „Polskiej Prasy" i paru przygodnych gapiów.

Przez rogatkę Wolską, skacząc z kamienia na kamień, wypadamy na szosę do Łowicza. Pejzaż prześliczny, białe chaty przykryte puchatemi czapami ciemnych strzech, — strzeliste krzyże przydrożne, gotyckie kościołki.

Upał. Szosa fatalna. Bezustanne objazdy, przez które maszyna z trudnością przeciska się brnąc w piachu. Spotykamy auto „en panne", dajemy pomoc, a dalej sami musimy zmieniać trzy dętki. W nocy dobijamy do Poznania.

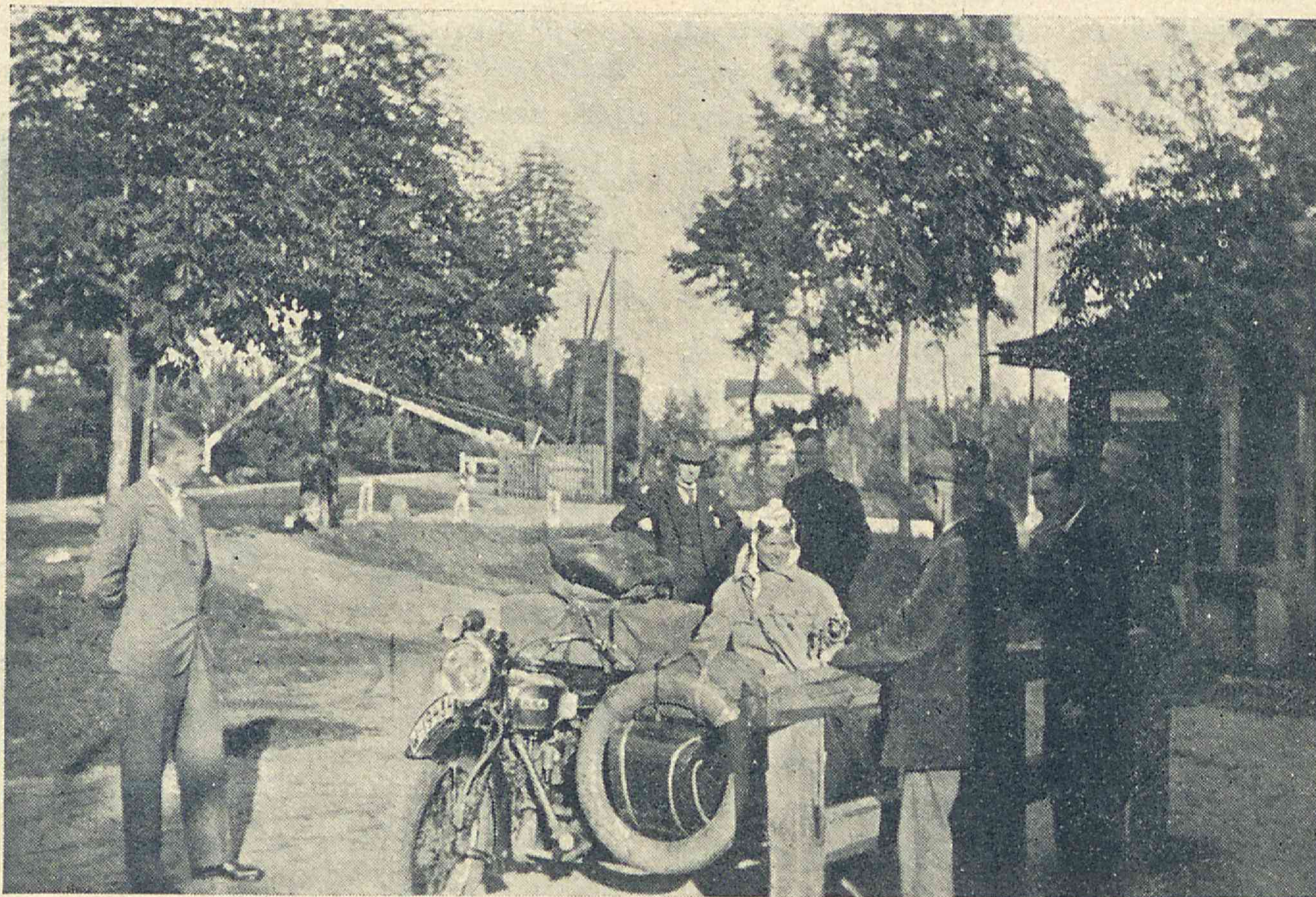
robót—robimy objazd na Landsberg-Küstrin.

Gdyby chociaż jedna szosa ojczysta była podobna do tego objazdu, nazwanoby ją autostradą.

Pejzaż wsi nie różni się niczem od Poznańskiego, tylko solidne zabudowwania gospodarskie i coraz większe miasteczka, już nie wsie, mówią same za siebie o germańskim porządku.

Od Küstrin do Berlina poszerzają szosę na 1/3 szerokości. Co parę metrów przy każdej barjerze czerwona chorągiewka. Zapada zmrok. Na miejsce chorągiewek zawieszono czerwone latarnie. Jak okiem sięgnąć, sznur czerwonych światełek miga, niby robaczki świętojańskie. W miejscu przerzutu robót na drugą stronę szosy zapala się czerwone i zielone światło sygnału regulującego ruch. Czegoś podobnego nie zdarzyło mi się widzieć nigdzie, — imponująca dbałość o życie obywateli.

Do Berlina wjeżdżamy wieczorem, przez Frankfurcką aleję. Masa świateł. Poczwórny szereg pędzących maszyn. Pod kołami wyślizgany asfalt, przezroczysty jak woda — jezdnia robi wrażenie szklanej. Półtorej godziny pędzimy przez Berlin, ciągle pytając o



Ostatni uścisk dłoni na granicy..

Aleja topolowa przed punktem granicznym Gorzycko

Następnego dnia o godz. 2 po poł. wyjazd w kierunku Pniewy — Gorzycko. Pogoda raczej przykra, chmurno i bardzo silny wiatr. Mijamy uprawne pola — piękne dwory o charakterze rycerskich zamków. Niebotyczną aleją topolową dojeżdżamy do punktu granicznego Gorzycko. Ostatnie formalności w Polsce. Motor dostaje plombę ołowianą. Ostatni uścisk polskiej dłoni, życzenia i rady na drogę. Przejeżdżamy kilka metrów i już jesteśmy w Niemczech. Heil Hitler! Urzędnicy celni uprzejmi. Szybko i składnie wszystko w 10 min. załatwione. Szlaban otwarty — przed nami raj dla kierowcy — asfaltowa szeroka szosa...

Od Schwerin, główna szosa na Berlin, prowadząca przez Waldowsterenk, zamknięta z powodu

drogę i znowu ją gubiąc. Nareszcie na Kurfürstenstrasse znajdujemy Poselstwo Polskie. Biorąc je za punkt wyjścia, jedziemy do hotelu.

Słoneczny ranek. Sprawy. Interesa. Znów śmiganie motorem w różnych kierunkach miasta. Rozszalała jezdnia — auta, motocykle, rowery mijają się z szybkością 60 do 70 kilometrów na godzinę. Wszędzie sztandary ze swastyką, orkiestry wojskowe, oddziały hitlerowskie S. S. i S. A. *„Saar ist unser"*.

II

„IDA WÜST SPRZĄTA PLAŻE"

Święto ludowe nad Wannsee.

Niedziela. Berlin wymarł. Gdzieś znikły niezliczone szeregi samochodów. Pusta jezdnia. Nieczynne stoją sygnały świetlne, regulujące ruch uliczny. Tylko chodnikami snuje się tłum wycieczek z prowincji. Gdzie szukać Berlina? — Nad Wannsee. Tam odbywa się dzisiaj święto ludowe.

Przez Kurfürstendam jedziemy w kierunku na Potsdam. Wzdłuż cudownej szosy asfaltowej szeregi wykwintnych pałacyków toną w zieleni bluszczu i ogrodów... Nagle kończy się miasto. Wjeżdżamy w sosnowy bór Grunewald'u i gdyby nie szosy asfaltowe, przecinające las w kilku kierunkach, mielibyśmy złudzenie, że wyrosła przed nami puszcza Rudnicka, lub Augustowskie lasy.

Nowa niespodzianka. Miraż, — czy fotomontaż filmowy? Domki białe, różowe, zielone, błękitne jak niebo — pudełka i pudełeczka, bajecznie kolorowe — to malowniczo w kilku kierunkach rozrzucona współczesna kolonja „Chata Wuja Toma".

Dalej znów las. Przez pomyłkę jedziemy szosą przeznaczoną wyłącznie dla rowerzystów. Dojeżdżamy do Wannsee.

Kolosalny park samochodowy. Porządek idealny, w tłumie maszyn natychmiast przydzielono nam miejsce. Obok podziwiamy hangar, obliczony na dwadzieścia tysięcy rowerów.

Podchodzimy do bramy o kilkunastu wejściach i wyjściach. Za okazaniem legitymacji prasowej, jak na znak różdżki czarnoksięskiej, otwierają się przed nami wrota zaczarowanej krainy.

Stoimy na szerokiem wzgórzu. Jak okiem sięgnąć, roziskrzone słońcem jezioro, usiane niezliczoną ilością żagli. U stóp naszych terasami schodzi do plaży gmach kąpieliska, zalany różnobarwnym tłumem ludzi.

Przez mikrofon mówią, śpiewają, nieomal że tańczą wszystkie sławy teatrów, opery i operetki Berlina z Idą Wüst na czele. Ulubienica Berlina dzisiaj „sprząta plaże" w sztuce granej na wzniosły cel pomocy bezrobotnym artystom.

Między jednym a drugim występem gwiazd jakaś trzyletnia Gretchen lub mały Hans, który w tłumie zgubił rodziców, krzyczy: „mamo" w mikrofon, wydzierając się z rąk artysty, ogłaszającego, że mały obywatel zgubił tatusia i mamusię.

To odbywa się na środkowej platformie tarasu. W dole, na plaży, idą jeden za drugim matche bokserskie, konkursy elegancji kostjumów kąpielowych, balet dziecięcy, reklamy w żywych obrazach i wszelkiego rodzaju zawody sportowe.

Oszołomieni nawałem atrakcyj, które odbywają się równocześnie, zduszeni w tłumie ubranych i nagich ciał, udajemy się na trybunę artystów, gdzie dyrektor plaży oddaje nas w ręce referenta prasowego miasta Berlina, p. Adolfa Zeberin. Ten z najbardziej wersalską uprzejmością ofiarowuje nam swoje usługi, oprowadza i wszystko wyjaśnia.



Ida Wüst jest ulubienicą tłumów



Widok od jeziora na gmach kąpielowy



Ping - pong znajduje zapalonych zwolenników

Zwiedzamy zakład kąpielowy. Zbudowany w roku 1925 murowany gmach dwupiętrowy, z tarasem górnym długości 700 metrów, zajmuje wraz z plażą 80.000 metrów kwadratowych. Taras tworzy prześliczną promenadę z niezrównanym widokiem na jezioro. Co parę kroków stoi budka z zimnym natryskiem.

Schodzimy na piętro, gdzie mieści się 10.000 kabin, urządzonych w ten sposób, że zaraz po rozebraniu się ubranie znika do ogólnej szatni i kabina czeka znów wolna. Równocześnie rozbierać się może dziesięć tysięcy osób, a plaża jest obliczona na siedemdziesiąt tysięcy.

Na parterze idą szeregi sklepów: zakład fotograficzny, sprzedaż i wypożyczalnia wszelkich przyborów kąpielowych, papierosy, słodycze, lody, zakład fryzjerski, w którym w niedzielę niema pracy, ale można wypożyczać przybory do golenia. Dalej, kabiny masażu, urządzone według ostatnich wymogów higieny i stacja Czerwonego Krzyża, pomocy doraźnej, wyposażona w małą salę operacyjną ze stałym personelem, składającym się z lekarza i czterech sił pomocniczych.

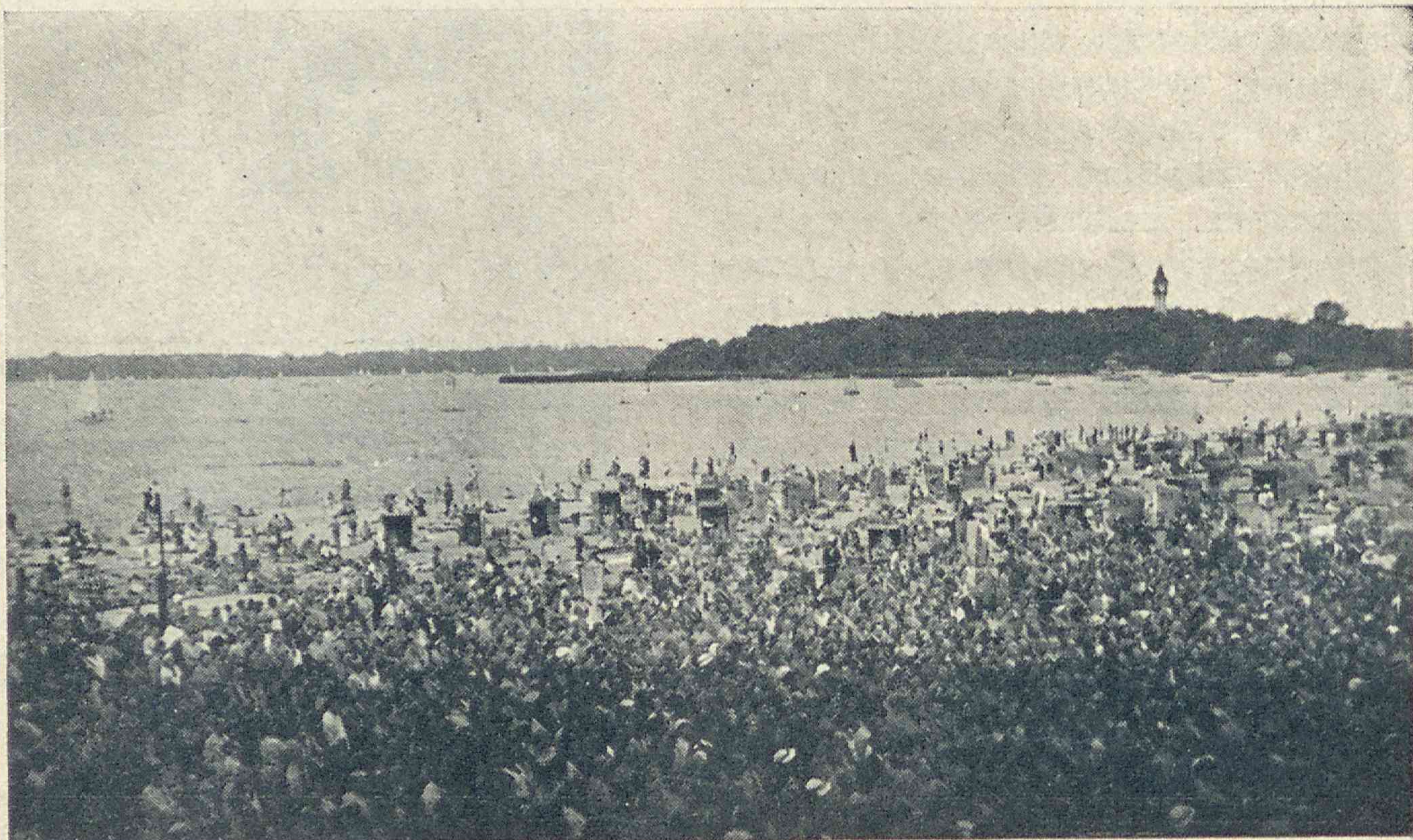
Przed nami szeroka piaszczysta plaża, ring bokserski i molo. Wszędzie krany z bieżącą wodą do picia. Na prawo zamknięta plaża dla inwalidów wojennych i kalek — niestety dzisiaj z racji święta pusta. Za nią, już poza granicami kąpieliska, przystań Yachtklubu. Pan Zeberin opowiada nam o planach Berlińskiego Yachtklubu, który ma zamiar połączyć Berlin Sprewą i kanałami z Wannsee, aby ułatwić posiadaczom prywatnych jachtów i członkom Berlińskiego Yachtklubu bezpośredni spacer wodą.

Bierzemy kierunek na lewo, wciąż idąc plażą. Wchodzimy w dziecięcy ogródek: karuzele, huśtawki, giganty. Dalej przyrządy gimnastyczne, trapezy, drabinki, stoły do ping-ponga'a, bieżnie. Wszędzie ruch.

Siadamy na tarasie kawiarni - restauracji, obliczonej na dwa tysiące dwieście osób. Panuje tu kostjum kąpielowy lub pyjama. Ceny o połowę niższe, niż w Berlinie — dla uprzystępnienia masom. Wystarczy dla porównania, że bilet na plażę daje prawo do korzystania ze wszystkich wymienionych urządzeń za cenę 20 fenigów dla dorosłych, 10 dla dzieci. Komunikacja z Berlinem bezpośrednia. W ciągu 25 minut przenosi się biedny mieszczuch berliński kolejką elektryczną lub metro na luksusowo urządzoną plażę. To kąpielisko jest już za małe dla Berlina. Na przyszły rok ma być rozszerzone w dwójnasób, restauracja—czterokrotnie. Pan Zeberin dodaje, że i to nie pomoże, plaża będzie zawsze przepełniona. Dobrze, że 1700 metrowa promenada w lesie odciąga część publiczności, szukającej kąpieli powietrznej, nie słońca i piasku.

Kto raz znalazł się na plaży w Wannsee, ten z trudnością oderwie od jeziora wzrok zachwycony i zmusi się do odjazdu. Ale czeka nas jeszcze jedna przyjemność — powrót torem wyścigowym „AVUS". Wiatr tylko gwiżdże w uszach i łzy zacinają mimo okularów. — Zwolnić! — Berlin.

H. Korolcówna—Bujakowska



Morze głów na plaży



Przed kilku dniami ustąpił z Komisarjatu Rządu, przechodząc na inne stanowisko, kierownik oddziału prasowo - widowiskowego, radca Mieczysław Szyszyłowicz. Na tem odpowiedzialnem stanowisku pozostawał od r. 1928 i w sferach dziennikarsko - wydawniczych zyskał sobie szczerą sympatję.

KRONIKA WYDAWNICZA

(Książki nadesłane do redakcji)

Z początkiem roku szkolnego ukazały się następujące podręczniki, wydane przez „Książnicę - Atlas" w Warszawie:

Franc. Bielak i Jan St. Bystroń. „Dawniej i dziś". Wypisy polskie dla I klasy gimnazjalnej.

St. Tync. J. Gołąbek i J. Duszyńska, „Wieś i miasto". Czytanka polska dla III klasy szkół powszechnych wiejskich i miejskich.

St. Niemcówna i St. Pawłowski. „Geografja" dla VI klasy szkoły powszechnej.

St. Jodłowski „Ćwiczenia gramatyczne, ortograficzne i słownikowe" dla III klasy szkoły powszechnej.

M. Falski „Elementarz" dla I-ej klasy szkół miejskich.

H. Gaertner „Mowa Polska". Podręcznik do nauki o języku dla II klasy gimnazjalnej.

Z. Klemensiewicz „Jezyk polski". Ćwiczenia i pogadanki gramatyczne dla II klasy gimnazjalnej.

Alphonse Daudet „Le chèvre de M. Seguin", „Le sous-préfet aux champs". Wstęp, objaśnienia i słowniczki opracowała K. Mellerowicz.

Prof. Z. Czerny i S. Jungman. „Wskazówki metodyczne do podręcznika „Les aventures de Polo" dla I klasy gimnazjalnej.

Dr. G. Gebertowa „Przewodnik metodyczny do podręcznika z dziejów starożytnych i wczesnego średniowiecza" dla I klasy gimnazjalnej.

ROLF BENNET

BANDYTA

— A teraz zegarek proszę, Senor.

Niechętnie i ponuro Langdon odpiął zegarek na ręce i podał wodzowi gromadki malowniczych łotrów. Zabrali mu już pieniądze, hiszpański ekwiwalent pięciu funtów, lecz pozwolili zatrzymać bilet powrotny do Southampton.

— Dziękuję, senor — rzekł bandyta, biorąc zegarek i wsuwając go w fałdy barwnego pasa.

Był tak zdumiewająco uprzejmy i mówił tak dobrze po angielsku, że Langdon zastanowił się, czy nie jest to tylko kawał. Może to studenci bawiący się w bandytów i za chwilę oddadzą mu jego własność. Następne słowa bandyty rozwiały te pocieszające podejrzenia.

— Żałuję, senor, lecz muszę poprosić pana o buty.

— Buty! — powtórzył jak echo zrozpaczony Anglik.

— Niestety, senor. Obuwie jest mi bardzo potrzebne, a pańskie zdają mi się być niezwykle dobre.

— Ależ to jest niemożliwe—wykrzyknął Langdon. — Jakże mam powrócić do Barcelony bez butów. Nie dam wam butów!

— Byłoby to bardzo nierozsądne, senor — zauważył grzecznie tamten —bo wówczas prawdopodobnie nie wróciłby pan do Barcelony wcale.

W milczeniu Langdon usiadł na skale i zdjął buty, ulubioną parę, zrobioną specjalnie na zamówienie, poczem oddał je bandycie.

— Dziękuję, senor — rzekł bandyta. — Może będą pasowały na mnie, a w takim razie zamienimy się.

On też usiadł na złomie skalnym, a towarzysze skupili się naokoło niego, przyglądając się, jak nakładał obuwie. Ku wściekłości Anglika, leżały, jak ulane.

— *Madre de Dios!* — zawołał bandyta wesoło. — Tak jakby szyte były dla mnie. Senor dostanie moje stare *zapatos*. Eleganckie nie są, ale wystarczą panu do Barcelony.

Podał Anglikowi parę zniszczonych postołów, z pourywanemi rzemykami do zawiązywania naokoło nóg i uprzejmie pomógł mu je nałożyć.

— A teraz, senor, oto pańska droga. Przed zachodem słońca dojdziesz do Barcelony. Proszę pokłonić się odemnie policji i poinformować ją, że, choć z żalem, opuszczam na pewien czas te strony.

Bandyta skłonił się dworsko, poczem zniknął z towarzyszami wśród skał otaczających wąską, wijącą się ścieżkę. Langdon, klnąc w bezsilnej złości, powędrował, potykając się w zniszczonem obuwiu. Czemu był takim idjotą i poszedł sam na parogodzinną wycieczkę w okolice Barcelony. Ostrzegano go, że grasują tam bandy łotrów, którzy schronili się przed policją, ale on nie wziął ostrzeżenia na serjo. A teraz jest uboższy o pięć funtów, zegarek i parę butów, która kosztowała go trzy gwineje.

Głodny, zmęczony i z obtartemi nogami dowlókł się przed zmrokiem do Barcelony i natychmiast poszedł zawiadomić policję o swojej przygodzie. Współczuli mu lecz przyznali się, że niema nadziei ani schwytania rzezimieszków, ani odebrania skradzionych rzeczy. Czyż nie ostrzegano senora, aby nie wychodził za miasto? Owszem. *Muy bueno,* senor sam sobie winien. Jeszcze szczęście, że senor uszedł z życiem.

Konsul brytyjski, do którego Langdon poszedł nazajutrz, wyrazi swoje zdanie jeszcze ostrzej, wymyślając mu od osłów. — Policja ma dość kłopotu — kończył— z utrzymaniem porządku w mieście, aby mieć czas ścigać wymykające się bandy rozbójników, znających każdą piędź kraju. Naturalnie, założę oficjalny protest, lecz i na tem się skończy.

Wszystko to zdarzyło się dwa lata temu i Langdon nie był od tego czasu w Hiszpanji, choć chciał ją odwiedzić przy pierwszej sposobności. Wyszedł bardzo dobrze na tej przygodzie. Jego artykuł zatytułowany „Spotkanie z hiszpańskimi bandytami" przyniósł mu 10 gwinei, drugi pod tytułem „Wśród hiszpańskich opryszków" przyniósł to samo, a kilka krótkich artykulików na ten sam temat dało mu mniejsze lecz wielce przydatne kwoty. Wistocie więcej zarobił na tym *hold up*'ie, niż sami bandyci.

Pewnego dnia zauważył w dzielnicy Soho małą restaurację pod szyldem *„La Roja Cabra"*. Ta hiszpańska „Czerwona Koza" przypomniała mu podróż do Hiszpanji i postanowił zjeść tam lunch. Jeśli kuchnia jest istotnie hiszpańska, z przyjemnością przypomni sobie oryginalne potrawy, które jadał w Barcelonie.

Smukły kelner, o przylizanych czarnych włosach, podał mu jadłospis. Wybrał „olla podrida" i pół butelki wina hiszpańskiego, a zakończył lunch serem i kawą. Kiedy zażądał rachunku, kelner spisał go na karteczce i wskazał mu kontuar prz drzwiach. Langdon tam podszedł, a gdy kładł rachunek, oczy jego spotkały się ze wzrokiem człowieka, przyjmującego pieniądze. Przez chwilę mężczyźni patrzyli na siebie.

— Bandyta! — szepnął Langdon.

— Senor z butami! — szepnął tamten.

— Co do djabła pan tu robi?

— Jestem właścicielem, senor.— odpowiedział Hiszpan. — Widzi pan, doszło do tego, że coraz mniej spacerowiczów ośmielało się wyglądać poza mury Barcelony, tak że coraz trudniej było na chleb zarobić. Po rewolucji zrobiło się jeszcze gorzej, bo nikt nie miał pieniędzy. Wreszcie doszło do tego w naszej bandzie, żeśmy sami siebie rabowali. Wkrótce nikt już nic nie miał; ja na szczęście miałem trochę pieniędzy bezpiecznie schowanych. Za nie przybyłem do pańskiej ojczyzny i założyłem tę restaurację.

— Rozumiem. I powodzi się panu?

— Nieźle, senor. Zawód ten nie jest może tak romantyczny, ale... nie jest też całkowicie różny.

Langdon rzucił okiem na rachunek, roześmiał się i położył banknot dziesięcioszylingowy na kontuarze.

Restaurator oddał mu go niezwłocznie. — Senor raczy być moim gościem — rzekł poważnie.

— Ależ — Langdon chciał zaprotestować, lecz tamten mu przerwał.

— Pozatem, senor, noszę jeszcze pańskie buty. Pan pozwoli sobie powiedzieć, — dodał z uśmiechem,—że to najlepsze obuwie, jakie kiedykolwiek w życiu nosiłem.

przeł. *W. P.*



Scena ze strajku włókienniczego w Ameryce

Nowy przewodnik krajoznawczy po Polsce

W Polsce dawał się dotąd odczuwać brak krótkiego, rzeczowo opracowanego przewodnika po całym kraju, odpowiednio zilustrowanego. Lukę tę wypełnia wydany w ostatnim tygodniu przewodnik po Polsce, zatytułowany „Poznaj piękno Polski". Jest on pożyteczną lekturą dla dorosłych i młodzieży, gdyż w miły i zarazem fachowy sposób zapoznaje ich z zabytkami Polski i pięknem jej krajobrazu. Szata graficzna wydawnictwa stanęła na wysokości zadania, dorównywując wielu zagranicznym wydawnictwom tego rodzaju, a przewyższając niemal wszystkie dotychczas wydawane w kraju. Uzupełnieniem tekstu jest mapa Polski z oznaczeniem tylko najważniejszych miejscowości i plany 6 największych miast, oraz wybrzeża morskiego. Wydawnictwo jest pożytecznym i estetycznym przewodnikiem, zachęcającym do podróżowania po Polsce i zapoznawania się z jej pięknem. Cena jednego egzemplarza wynosi zaledwie złotówkę, celem rozpowszechnienia książki w jaknajszerszych sferach społeczeństwa.

„Zdrój"

Ukazał się 6 numer „Zdroju", ilustrow. czasopisma uzdrowiskowego. Dwutygodnik, poświęcony propagandzie uzdrowisk polskich, ładnie ilustrowany, starannie wydany daje czytelnikowi szerokie wiadomości o walorach leczniczych naszych uzdrowisk, podane przez fachowe siły lekarskie. Uwzględnione są działy djetetyki, kosmetyki i mody uzdrowiskowej. Przewodniczącym komitetu redakcyjnego jest prof. dr. med. Mieczysław Michałowicz. Redaktor Jan Wroczyński, wydawca Kos. Kalkstein.

PORADY KOSMETYCZNE

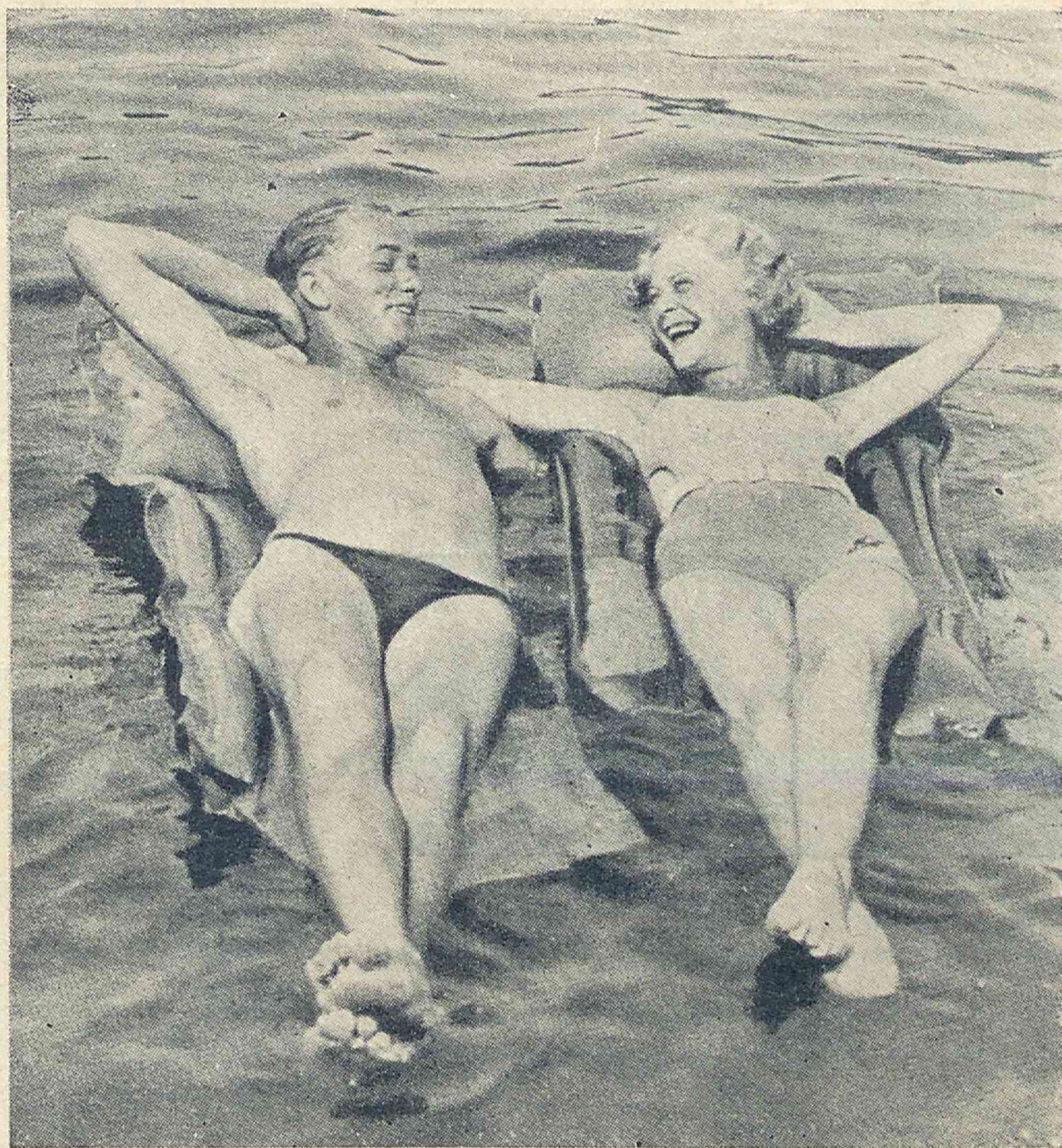
Odpowiedzi od Redakcji

Gospodarnej. Kwestja należytego zabezpieczenia cery i rąk przed zniszczeniem, jest nader ważną. Zwłaszcza ręce psują się bardzo, gdy co chwila myć je potrzeba. Po każdem umyciu w wilgotne jeszcze ręce należy wcierać galaretkę Glicerijell, dla udelikatnienia skóry rąk i zabezpieczenia od pierzchnięcia.

W wypadkach nadmiernie szorstkiej, popękanej, suchej skóry, należy stosować kremy tłuste, zawierające lanolinę t. j. *Krem ziołowy* lub *Krem Lanola* marki Antiba.

Pani Zofji L. z Konina. Specjalnych zasad perfumowania się niema, a rodzaj perfum dobierać należy indywidualnie, stale stosując ten sam zapach. Należy pamiętać, że osoba zbytnio naperfumowana razi. Dla odświeżenia twarzy, natarcia ciała lub skropienia pościeli nadaje się najbardziej czysta woda kolońska np. marki Antiba.

P. Zygmuntowi B. ze Lwowa. Przy pańskiej bujnej czuprynie, odpowiednie ułożenie włosów będzie prawdziwą przyjemnością dla oczu innych osób. Potrzebne jest panu stosowanie preparatu natłuszczającego, lecz tylko pierwszorzędnej jakości. Z brylantyn, jakiemi zalany jest nasz rynek, korzystnie wyróżnia się brylantyna „Antiba" ulubiona przez znawców i delikatnie perfumowana, radzimy więc Panu ją stale używać.



Kiedy u nas zbliża się zima, gdy myśl już pracuje, skąd zdobyć węgiel—na wybrzeżach Kalifornji nowe gumowe leżaki umożliwiają kołysanie się na fali

Psychoza sportu

Mecz piłkarski „Niemcy — Polska" zgromadził na boisku Legji przeszło 40.000 widzów. Z całego kraju dodatkowemi pociągami zjechali się ciekawi. Podróż odbywała się w warunkach okropnych — pasażerowie dusili się, jak przysłowiowe śledzie w beczce.

Nie byłoby w tem zjawisku nic anormalnego, gdyby tak wielkie zainteresowanie dotyczyło i innych dziedzin. Jakby to było pięknie, gdyby 40.000 widzów zjechało do stolicy na koncert znakomitego pianisty — na gościnne występy sławnego teatru, odczyt uczonego i t. p.

Tych zainteresowań niestety niema.

W dniach straszliwej powodzi komitet ratunkowy z niewielkim skutkiem apelował, wzywając ochotników do sypania wałów. Nie znalazło się nawet 4.000 chętnych.

Zwolennicy sportu wałęsali się po moście, gapili nad brzegami rzek, ale żadnemu z nich nie przyszło na myśl chwycić za łopatę i pracować.

A gdyby 40.000 stanęło do akcji ratunkowej, byłby to najpiękniejszy wyczyn sportowy na ziemiach polskich.

CZY ZŁOŻYŁEŚ OFIARĘ NA POWODZIAN?
P. K. O. 2200

ROMANTYCY

Pogodna noc wrześniowa. Na ciemno szafirowym kloszu nieba gęsto rozsypany srebrzysty pył gwiazd. Cicho. Niemal całe miasto już śpi.

Na bocznej ulicy jedno z parterowych okien wielkiego domu mży przyćmionem światłem. Lekki podmuch wiatru układa w miękką draperję firanki. Pani Lunia, śliczna blondynka, o wielkich, szarych oczach, otulona lekką kołdrą, kończy z przejęciem najnowszą powieść.

Gdzieś z daleka dobiega zgrzyt pędzącej taksówki i dwa uderzenia zegara.

Doczytane ostatnie kartki, rozkoszne przeciągnięcie się i płatki powiek stulają się. Pani Lunia zasypia, nie zgasiwszy lampy. Zresztą nawet we śnie nie lubi ciemności.

Naprzeciwko okna dwa cienie przylepione do szarego parkanu. Tkwią już niemal od godziny bez ruchu...

— Druga, psiakrew, jeszcze nie kimają.... spływa bezszelestny szept.

— A może zapomnieli zgasić... zajrzyj...

Cienie przepełzają na drugą stronę ulicy. Koci ruch i jeden już siedzi na parapecie, odchylając brzeg firanki. Długa minuta nasłuchiwania. Wreszcie, raczej ruch warg, aniżeli dźwięk głosu:

— Kima... Walimy!...

Cienie już są w sypialni, wysłanej miękkim dywanem. Jeden z nich z zachwytem wpatruje się w śpiącą.

— Felek... patrz, jak bycza kobita.... Wole jom od Marleny.

— Nie migdal się, tylko zabieraj szmaty i jazda...

Drugi złodziej jak zahypnotyzowany. Złota główka, ułożona na miękkiem, krągłem ramieniu. Gąszcz rzęs kładzie głębokie cienie pod oczami. Druga ręka odcina się śliczną linją na kołdrze.

— Zostaw Felek, chodźmy...

— A co bedziesz jutro żar?...

Rozsądek bierze górę. Kilka bezszelestnych ruchów — sukienka, koronkowa koszulka, torebka, parę drobiazgów i cienie giną w mroku odludnej ulicy.

W brudnej melinie na krańcu miasta— refleksja:

— Takiej ślicznej dawno już nie widziałem... Może odesłać jej szmaty.

— List miłosny jej poślijmy... Niech wi, że złodzieje tysz na kobitach się znają...

Nazajutrz pani Lunia znalazła zatkniętą za drzwi szarą kopertę z dokumentami, jakie miała w skradzionej torebce i świstkiem papieru:

Szanowna Pani!

Dziękóje za wizyte i Prosze na pszyszłość pszyszykować więcej.

Kochana, jakaś ty ładna, tylko cię całować

Spoważaniem

Felek i Frelek.

ŚWIAT FILMU



Margaret Sullavan bohaterka filmu „Zaledwie Wczoraj„ i Douglass Montgomery w scenie z filmu p. t. „I cóż dalej, szary człowieku?" wyświetlanym w kinie „APOLLO"



Premiery ubiegłego tygodnia

Wielki sezon tegoroczny jest już w pełni. Czołowe wytwórnie filmowe popchnęły do boju swe najtęższe kolubryny. Słynne gwiazdy, monumentalna wystawa, najpoczytniejsza powieść — oto atuty, które mają zwyciężyć w grze o powodzenie, w zdobyciu laurów i sukcesów.. kasowych. W ostatnim tygodniu mieliśmy okazję ujrzeć aż cztery największe przeboje jesiennego sezonu filmu zagranicznego; każdy z nich przyniósł swe odrębne specjalne walory, każdy operuje innemi momentami atrakcyjności.

W kinie APOLLO ukazała się przeróbka słynnej powieści *„I cóż dalej szary człowieku?"*, tłomaczonej na wszystkie kulturalne języki świata, m. in. i na polski. Film wytwórni Universalu dosyć ściśle wzorowany jest na oryginale powieści, choć i tym razem reżyser nie zrezygnował z przysłowiowego amerykańskiego happy end'u. Dzieje szarego człowieka, jego beznadziejna walka o prawo do najskromniejszego bytu, miłość dwojga młodych, która nie załamie się wśród największych przeciwności życiowych — zainscenizowana została przez reżysera wysoce kulturalnie, z dużem wyczuciem artystycznem. Mimo swej „szarzyzny" film porywa bezpośredniością wrażeń i tematu, jest ciekawy, nienużący. Wielka zasługa w tem odtwórczyni roli Jagniątka: Margaret Sullavan. Trudno sobie wprost wyobrazić lepszą kreację tej roli. Świetna ta artystka ma tyle wdzięku, tyle radości życia w sobie, nie tej krzykliwej, głośnej, „na wynos" — ale żywej, prawdziwej, kryjącej się w jednym promiennym uśmiechu, w błyszczących kochających oczach...

„Viva Villa" w kinie ATLANTIC, wytwórni Metro - Goldwyn - Mayer, operuje zupełnie innemi wartościami. Jakkolwiek i tu mamy okazję podziwiać indywidualne wartości gry Wallace Beery, to jednak pierwszeństwo dać trzeba scenom zbiorowym, sztuce operowania tłumami, no i egzotyczne tła akcji — rzecz się dzieje w końcu ub. stulecia, w okresie walk wyzwoleńczych Meksyku. Wallace Beery ma możność zaprezentowania swego bujnego talentu we wszystkich jego przejawach — jest groźnym bandytą, serdecznym przyjacielem (aby przysłużyć się swemu przyjacielowi dziennikarzowi, który nieco przedwcześnie podał wiadomość o zdobyciu miasta, łamie rozkaz i w najtrudniejszych warunkach podejmuje bitwę i... wkracza do miasta), brutalnym kochankiem i dobrodusznym olbrzymem w rękach mocniejszego, lepszego, no i mądrzejszego. Wszystkie te odmiany postaci Villi zainscenizowane w sposób żywy, barwny, efektowny.

Drugi film tej samej wytwórni—*„Kot i skrzypce"*, wyświetlany w FILHARMONJI, jest zupełnem przeciwieństwem egzotycznego Villi. Pierwszeństwo, a właściwie wyłączność dano muzyce. Rzecz dzieje się współcześnie, bohaterami filmu jest para kompozytorów, ona — Jeanette Mac Donald, on —Ramon Novarro. Komponują piękne melodje, śpiewają je solo, w duecie, w zespole na scenie operetki. Film płynie nieprzerwaną melodją, słowiczy głos Mac Donald czaruje słuchaczy i jej czarującego partnera. Oddając jednak pierwszeństwo stronie wokalnej, zapomniano o innych wartościach filmu, czego jaskrawym dowodem jest koniec obrazu. Film urywa się jak zerwana taśma, bez sensu, w środku akcji, zupełnie niezrozumiale. Równie tajemnicą wytwórni pozostaje nazwa filmu — „Kot i skrzypce", nie dająca się podciągnąć ani do treści akcji, nawet w przenośni, nawet w... symbolu. Film mógłby się równie dobrze nazywać, jak powiedział ktoś złośliwy — piernik i wiatrak...

„Kleopatra", wytwórni Paramount, w kinie STYLOWYM, dzieło Cecile B. de Mille'a, wprowadza nas w świat dawnego Rzymu i Egiptu. Mille jest mistrzem w inscenizowaniu potężnych, monumentalnych filmów historycznych. Lwi pazur reżysera odtworzył na ekranie w całym przepychu antycznym historję miłości Kleopatry i jej kochanków. Bajeczna wprost wystawa, świetna gra czołowej trójki bohaterów filmu z Claudette Colbert na czele są jeszcze jednym walorem tego świetnego filmu.

* * *

Wytwórnie polskie kończą swój sezon pracy. Już w najbliższych dniach ukaże się pierwszy film tegorocznej produkcji, wytwórni Blok - Muza Film p. t. „Czy Lucyna to dziewczyna?" ze Smosarską i Bodo. Następnie wkracza na ekran „Zamach na gubernatora" z Norą Ney, potem „Co mój mąż robi w nocy" i szereg innych. W ciągu bieżącego i następnego miesiąca wyświetlonych zostanie ok. 10 polskich filmów. Jak się zdaje, tegoroczna produkcja stanowić będzie znaczny krok naprzód w rozwoju polskiego filmu. Parę filmów — jak głosi zakulisowa fama — stanie na poziomie najlepszej produkcji zagranicznej.

S. Kr.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Nr. 78 (368) Zadanie literackie

Ułożył Maciej z Przedborza

(Za rozwiązanie 7 punktów)

1							
2							
3							
4							
5							
6							
7							
8							
9							
10							
11							
12							
13							
14							
15							
16							
17							
18							
19							
20							
21							
22							
23							

Do podanych poniżej tytułów dzieł, należy odnaleźć 23 siedmioliterowe nazwiska ich autorów i wpisać je poziomo do powyższej figury. Środkowe litery, czytane od góry ku dołowi, dadzą rozwiązanie.

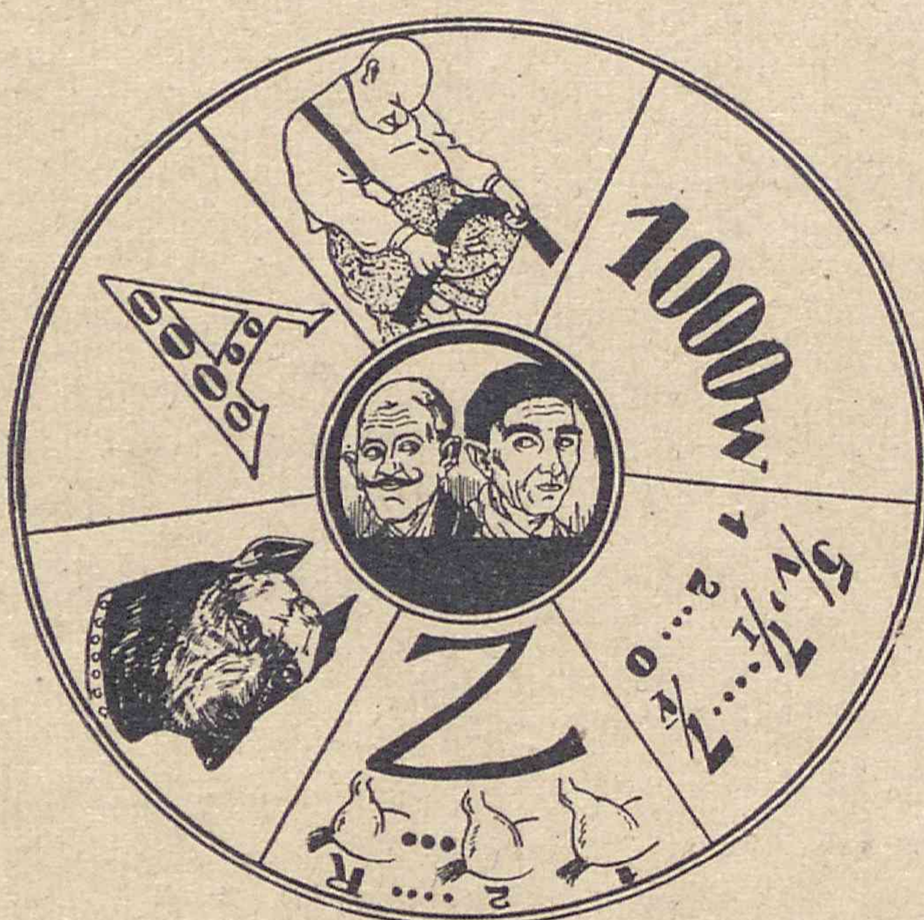
Tytuły utworów:

1) Rozmowa imperatora Pawła I z Tadeuszem Kościuszko w więzieniu w Petersburgu, 2) Starszy pan, 3) Filozofja sztuki, 4) Wielkie nadzieje, 5) Rozgrzeszenie, 6) Telegramy z Kosmosu, 7) Nagi rok, 8) Kobieta sama, 9) Popiół, 10) Życie i przypadki Faustyna Feliksa na Dodoszach Dodosińskiego, 11) Źródło zdrowia, siły i zręczności, podług Irwinga Hancocka, 12) Demon świata, 13) Czciciele szatana, z cyklu: „Świat dziwów", 14) Kazania sejmowe, 15) Nagrobek Urszulki — studjum o genezie „Trenów" Jana Kochanowskiego, 16) Orland oszalały, 17) Jak badać inteligencję, 18) Młodzież w Rosji Sowieckiej, 19) Romantyczne pomysły, 20) Na końcu świata, 21) Miasto nad rzeką (z notatek włóczęgi), 22) Czary w krainie wiedzy, 23) Księga zaświata.

Nr. 79 (369) Rebus wirowy

Ułożył Gas.Pard.

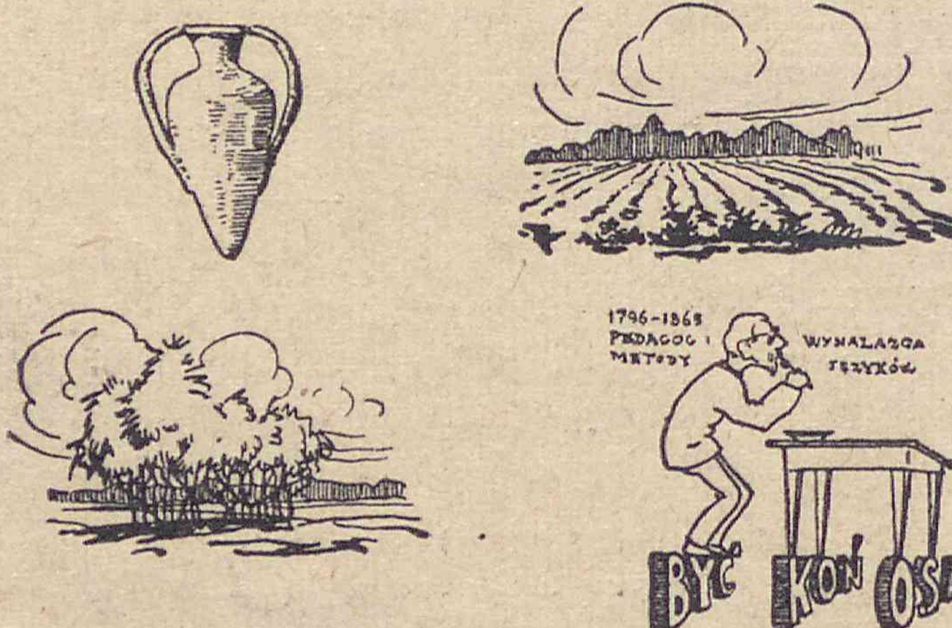
(Za rozwiązanie 10 punktów)



Nr. 80 (370) Rebus

Z pośmiertnej teki Gamastona

(Za rozwiązanie 5 punktów)



Rozwiązanie zadań

Nr. 67 (357) ŁAMIGŁÓWKA KOLUMNOWA

Znaczenie wyrazów: 1) Szteg, 2) Karci, 3) Oblig, 4) Corso, 5) Czyha (wspak), 6) Kałym, 7) Stabi, 8) Jesky, 9) Argot, 10) Obrót (wspak), 11) Dwoić, 12) Śnieg, 13) Wołga, 14) Świat, 15) Serce, 16) Wjazd, 17) Rejer, 18) Ibis, 19) Wyrwa, 20) Oposy, 21) Zorza, 22) Uczeń, 23) Szela, 24) Pytka, 25) Ciota (wspak), 26) Pytel, 27) Uwaga, 28) Radom, 29) Indra, 30 Pilot, 31) Osada, 32) Rączy, 33) Szlak, 34) Marja, 35) Szlus, 36) Gwasz, 37) Spryt (wspak), 38) Loicq (wspak), 39) Czart, 40) Manto, 41) Ajnon, 42) Padwa, 43) Otocz, 44) Alcyd. — „ZA BOHATERÓW NOWEJ ERY POCZYTYWANI SĄ ZAZWYCZAJ ATLECI, SZYBKOBIEGACZE I WSZELKIEGO RODZAJU SPORTOWCY".

TRAFNE ROZWIĄZANIE NADESŁALI:

Nr. 67 (357) Za rozwiązanie 10 punktów):

Dorota Herbstmanówna, Feliks Kowalski, N. K. Kozłowski, Romuald Żak, Czesław Kozłowski, Henryk Silczyński, Fr. Wiśniewski, Józef Zbyszewski (Kraków), Ksawery Faliński, Helena Millerowa (Kraków), Jan Popławski, Zofja Suchecka (Radom), Wład. Stock (Pińsk), Józef Małecki, Baśka Żulińska (Częstochowa), Jan Rudziński (Kalisz), Henryk Walewski (Lwów), Ola Borman, Janina Rowińska, Karol Waldenberg (Łódź), Stanisław Tański, Tadeusz Noskowski, Wiktor Sawicki, Jerzy Halski, Bolesław Nowak, Zofja Górska, Tadeusz Ritter, Henryk Ostrowski, Jan Kowalski, Gertruda Wolska.

„ŚWIAT" Redakcja i Administracja: Warszawa, Szpitalna 12. Tel. Red. 210-87. Tel Adm. 504-00.

WARUNKI PRENUMERATY (łącznie z premjum książkowem). W Warszawie: Odbiór w Admin. mies. Zł. 5.— kwart. Zł. 13.50. Z odnoszeniem do domu mies. Zł. 5.50, kwart. Zł. 15.—. Na prowincji mies. Zł. 6.— kwart. Zł. 16.20. Zagranicą mies. Zł. 8.— kwart. Zł. 21.60.

KONTO P. K. O. 3.755

Redaktor *L. Chrzanowski* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa

P